Nr. 49 (454). Cena 1 zł. W Czechosłowacji: 3.50 Kč. 3 grudnia 1932. Nakł. poszt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX.

NR 49

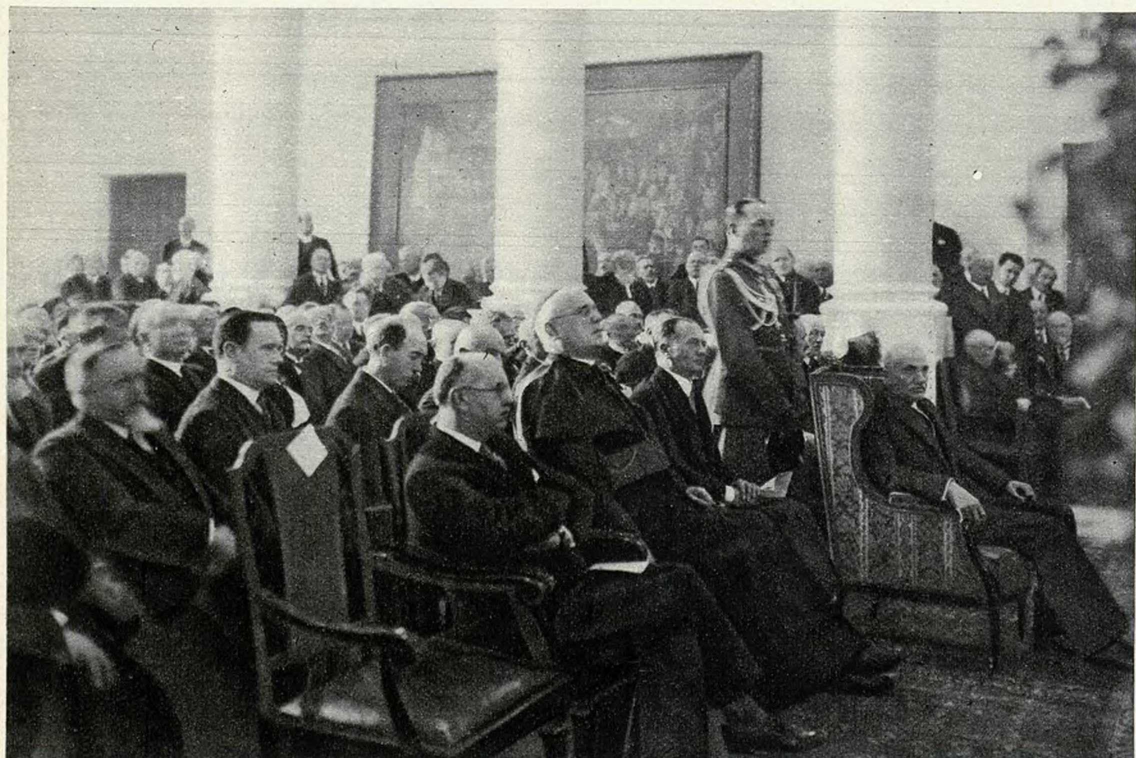
ŚWIATOWID

WYPRAWA MYŚLIWSKA WIELKOPOLANINA DO DŻUNGLI AFRYKAŃSKIEJ.

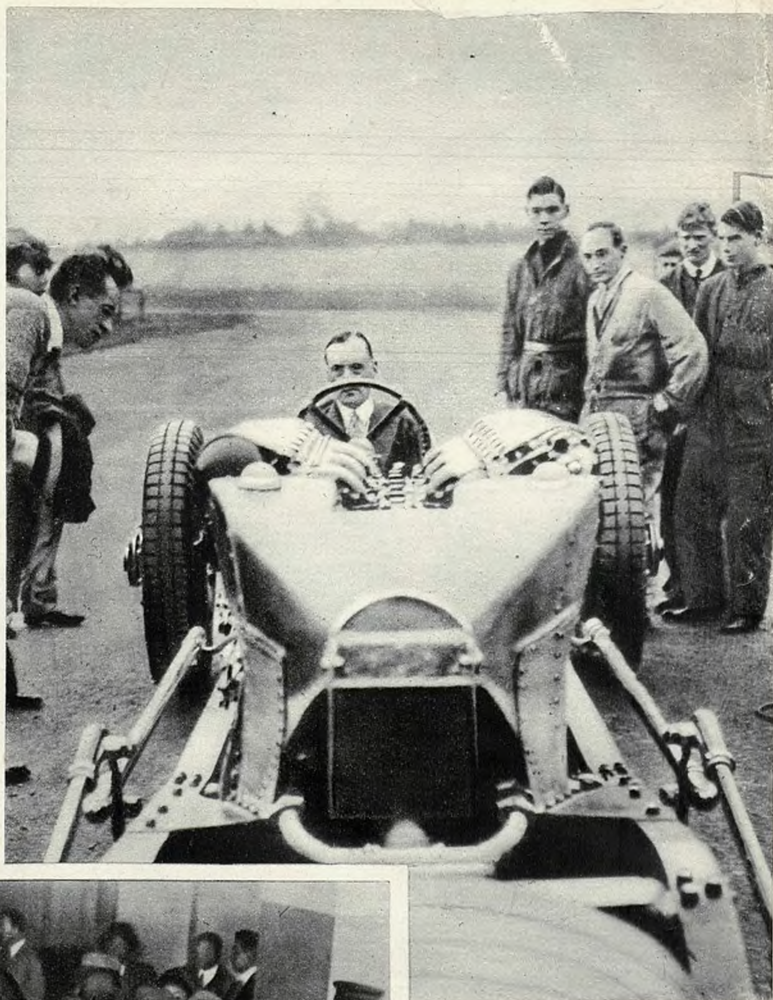


Do Poznania powrócił Adolf hr. Poniński, który przez dłuższy czas bawił w Kongo, gdzie polował na lwy i słonie. Na zdjęciu hr. Poniński w otoczeniu murzynów, którzy dopomogli mu do ubicia ogromnego słonia.

ECHA TYGODNIA.



DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE TWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO. Towarzystwo to, którego początki sięgają Królestwa Kongresowego, zostało rozwiązane po powstaniu listopadowem, ukazem carskim z r. 1832, a majątek jego skonfiskowano. Wznowiono działalność Towarzystwa dopiero w 1907 r. Uroczystość 25-lecia Towarzystwa, które odbyło się dnia 25 b. m., zaszczycił swoją obecnością p. Prezydent Rzplitej (na zdjęciu).



CAMPBELL ATAKUJE SWÓJ REKORD. Sir Malcolm Campbell, najszybszy automobilista świata, który w marcu ub. roku na plaży Daytona w St. Zjedn. A. P. na wozie „Niebieski ptak" osiągnął fantastyczną szybkość 408 km 634 m., postanowił przebudować swój wóz, a przedewszystkiem wymienić motor na nowy Rolls-Royce o sile 2.500 HP, czyli o 1.100 koni silniejszy od poprzedniego. Na wozie tym zamierza Campbell poprawić swój rekord i osiągnąć conajmniej 450 km. Na zdjęciu Campbell na swoim nowym wozie.

Keystone — London.



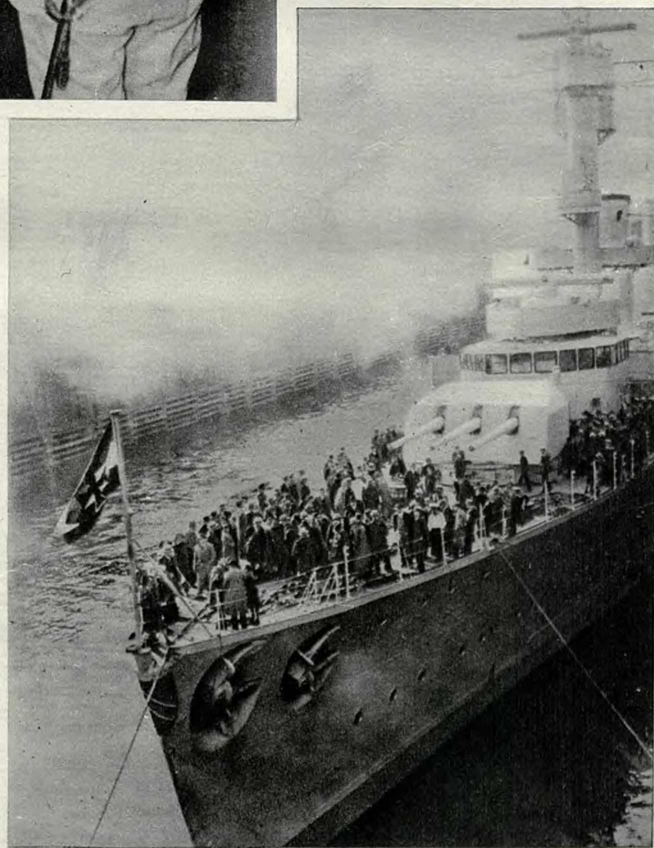
OGROMNY PROCES W TOKIO. Agitacja bolszewicka szerzy się w Japonji w zastraszający sposób, znajdując bardzo podatny grunt w kraju przeludnionym i uginającym się pod ciężarem trudnych do rozwiązania problemów socjalnych i gospodarczych. Jakiś czas uwagę ogółu zajęły wypadki w Mandżurji i w kraju panował spokój. Obecnie komuniści rozpoczęli nowe wichrzenia. Pragnąc ukrócić agitację, rząd japoński kazał aresztować 219 agitatorów, postawił ich przed sąd i skazał na karę długoletniego więzienia. Trzech tylko zostało uniewinnionych. Na zdjęciu tłumy publiczności spieszące na salę rozpraw.

Keystone — Berlin.



PODRÓŻE TROCKIEGO. Trocki, wypędzony przez Stalina z Rosji sowieckiej, znalazł schronienie w Turcji, gdzie mieszka od szeregu lat, zajęty pracą publicystyczną, a przedewszystkiem pisaniem dziejów rewolucyj październikowej. Przed dwoma tygodniami wyruszył on w podróż do Danji, gdzie ma wygłosić kilka odczytów z historji komunizmu. Droga Trockiego wiodła przez Marsylję i Francję. Na zdjęciu Trocki (bez kapelusza, w okularach), otoczony rojem dziennikarzy w małem miasteczku portowem Nave (Francja).

Wide-World Photos — Paris.



WIZYTA MARYNARZY NIEMIECKICH W STANACH ZJEDN. AM. Po raz pierwszy od 1912 r. przybył do Nowego Jorku z oficjalną wizytą pancernik niemiecki „Karlsruhe". Z górą 10.000 ludzi zgromadziło się w porcie, aby powitać i zobaczyć potężny pancernik niemiecki. Przy tej sposobności wygłoszono wiele mów, uściśnięto sobie ręce i zapewniono się wzajemnie o serdecznej przyjaźni. Niemcy bowiem, mimo wszystko, są w Ameryce teraz modni. Na zdjęciu pancernik „Karlsruhe" w porcie nowojorskim.

R. Sennecke — Berlin.

WZNOWIENIE „WESELA” I „WYZWOLENIA” NA SCENIE KRAKOWSKIEJ.

Pan młody (Eugenjusz Solarski) i panna młoda (Barbara Ludwiżanka), fragment z „Wesela“ Wyspiańskiego, wznowionego na scenie teatru krakowskiego.

W ramach uroczystości ku czci Wyspiańskiego, z okazji 25-lecia jego zgonu, wznowił znowu Teatr Krakowski „W e s e l e“ i „Wyzwolenie“.

Widownia była wypełniona do ostatniego miejsca, a ze sceny szło na nią wielkie słowo i hipnotyzowało ją tak, jak przed laty na premjerze. Jeszcze raz okazało się, jak omylili się ci, którzy uważali, że sztuki te już przeżyły się, że straciły na aktualności i że nie będą one już budzić tak silnego echa wśród dzisiejszego pokolenia.

Wprost przeciwnie; wprawdzie zatraciło się i zagubiło to wszystko, co w „Weselu“ było anegdotą, ale zostało to, co jest istotą dramatu d u s z y p o l s k i e j. Dusza ta jest skłonna do porywów, ale zamiast w chwilach decydujących imać się czynu, poddaje się złudnemu czarowi muzyki chochołów i zapada w sen kataleptyczny i przesypia n a j w a ż n i e j s z y moment.

Dzisiaj cała symbolika „Wesela“ i „Wyzwolenia“ jest tak jasna i oczywista, a przedewszystkiem zrozumiała, że współczesny słuchacz nie znajduje tam żadnych zagadek. Ale przypomnijmy sobie, jak p o k o l e n i e przedwojenne głowiło się nad temi problemami, jak kiwano głowami, słuchając rozmowy Konrada z maskami, jak zastanawiano się nad tem, co to jest chochoł, albo nad tem, w jaki sposób wyzwoli Polskę „robotnik, albo dziewka bosa“? itd.

Wyspiański i jego dramaty wytrzymały próbę życia. Są dzisiaj i zrozumiałe i wielkie i aktualne.

I dlatego Teatr krakowski w chwili, gdy grano w nim znowu „Wyzwolenie“ i „Wesele“, zamienił się jakby w kościół.

Słuchano bowiem Wyspiańskiego w religijnem skupieniu i z tą głęboką pokorą, która każe się ludziom korzyć przed tchnieniem Genjusza i sztuki nieśmiertelnej.

J. L.

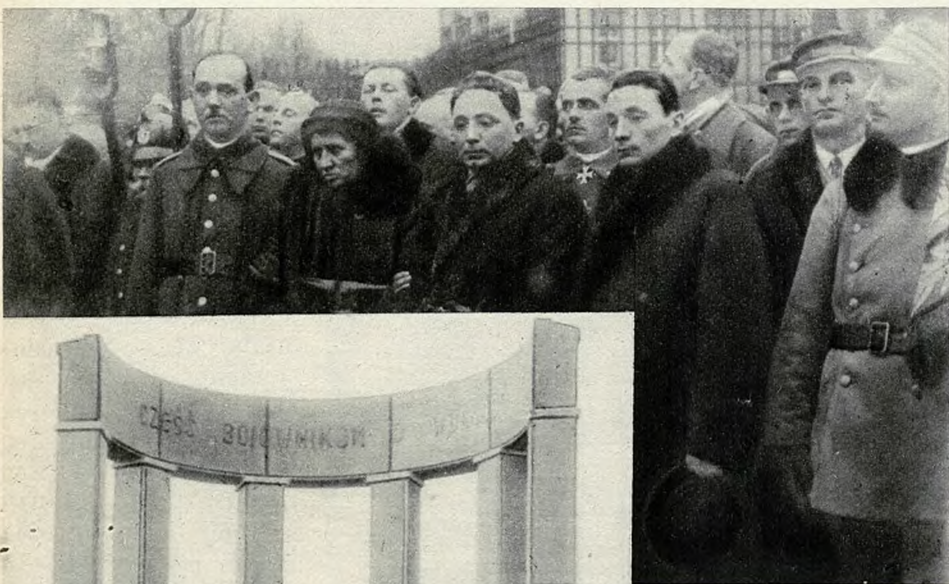


Scena z aktu I-go „Wyzwolenia“, wznowionego na scenie teatru krakowskiego.

Na ekranie chwili.



WIECZÓR POLSKI W LONDYNIE. Staraniem Y. W. C. A. odbył się w Londynie wieczór polski, w celu uczczenia święta Niepodległości i 101-szej rocznicy Powstania Listopadowego. Na zdjęciu grupa Polek, które brały udział w tych uroczystościach. Żadna z nich nie widziała jeszcze Polski, urodziły się bowiem na obczyźnie.

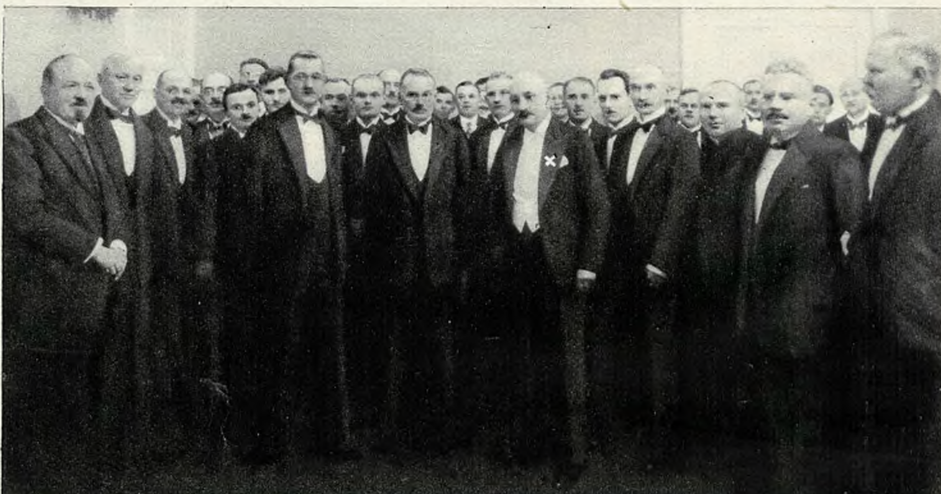




KALISZ PRZYGARNĄŁ PROCHY LEGJONISTÓW ZE SZCZYPIÓRNA. W ub. niedzielę odbyło się przeniesienie zwłok Legjonistów, zmarłych w obozie niemieckim w Szczypiórnie, do nowego mauzoleum w Kaliszu. Jak wiadomo Legjoniści, po odmówieniu złożenia przysięgi na wierność mocarstwom centralnym, zostali internowani na rozkaz gen. Beselera w obozie w Szczypiórnie. Marsz. Piłsudski wraz z gen. Sosnkowskim byli wtedy internowani w twierdzy magdeburskiej. Na zdjęciu: orszak żałobny, postępujący za trumną ze szczątkami Legjonistów i mauzoleum ku czci poległych Legjonistów w Kaliszu.



REPREZENTACYJNE POLOWANIE W WIELKOPOLSCE. W ub. tygodniu p. Władysławowstwo Poplińscy ze Śmiecisk urządzili polowanie, w którem wzięło udział wiele osobistości z Poznania i Warszawy. Królem polowania został gen. Sosnkowski. Na zdjęciu wojewoda poznański hr. Raczyński (drugi od prawej) w rozmowie z red. Szperberem.



JUBILEUSZ PRZEMYSŁOWCA. P. Kazimierz Polaski, dyrektor firmy Steinhagen i Saenger S. A. (fabryka papieru w Myszkowie) obchodził 25-lecie swej pracy na tej placówce. Z tej racji urządzono bankiet w salach Kasyna Urzędniczego, który zgromadził wszystkich pracowników papierni. Na zdjęciu jubilat p. dyr. Polaski (x) w gronie pracowników firmy Steinhagen. Obok po lewej pp. prezes H. Steinhagen i dyr. Al. Hoeke, po prawej zaś dyr. A. W. Steinhagen, ks. prob. J. Kałuża i inż. Al. Mańkowski.

»SEKCIARZE I PROROCY« PLAGĄ BERLINA.



Słynny jasnowidz berliński Hanussen, eksperymentuje na ulicach Berlina. Atlantic-Photo.

(Korespondencja własna „Światowida“).

Przyjeżdżający ostatnio do Berlina cudzoziemcy dziwią się bardzo, spotykając na każdym kroku ludzi z dziwnemi jakiemiś maszynami. Maszyny te zrobione przeważnie przez samych „wynalazców“, są czasem nader skomplikowane. Na jednej z ulic stoi np. jegomość, posiadający dużą czarną skrzynię, przypominającą aparat radjowy. Jeśli położyć na tę skrzynię rękę, poczyna ona piszczeć i gwizdać, a po chwili wyskakuje z boku jakiś numer.

Numer ten — to „horoskop“. W Berlinie, w ostatnich czasach, rozpanoszyli się „astrologowie“, którzy za dziesięć fenigów przepowiadają każdemu przyszłość, według uprzednio napisanych horoskopów. Jest rzeczą ciekawą, że ludzie ci, mówiąc otwarcie, zwyczajni oszuści, mają duże powodzenie i zarabiają grube pieniądze.



Na porządku dziennym są w Berlinie odczyty o siłach tajemnych, o tajemnicach powodzenia i t. d. Na zdjęciu afisz, zapraszający na wieczór psychofizjologa Rudolfa Hagena.

Przy ruchliwszych ulicach zostały nawet utworzone specjalne sklepy, nad któremi widnieją szyldy z napisem „Vergnügungspalast“. W środku fakirzy, w indyjskich strojach i egzotycznych turbanach. Klientelę tych sklepów stanowią drobni rzemieślnicy, panny sklepowe, a często i poważne matrony, święcie wierzące w owe napisane z ortograficznemi błędami, bzdury. Każda prawie gazeta berlińska zamieszcza teraz liczne ogłoszenia najrozmaitszych proroków i wróżek. Największem powodzeniem cieszy się niejaki pan Eryk Hanussen. Zarabia on więcej, niż minister: za „poradę“ bierze Hanussen najmniej 30 marek, a w poczekalni jego jest zawsze pełno. Hanussen jest niejako „prorokiem“ zamożniejszych berlińczyków i z tego powodu otworzył biura swoje przy najelegantszej ulicy Berlina, Kurfürstendamm.

Najpoważniejszym konkurentem Hanussena jest inny fakir z nad Szprewy, noszący skromne niemieckie nazwisko, Hans Möricke. Pan Möricke jest również jasnowidzem i wygłasza swoje przepowiednie na specjalnych odczytach. Sprawdzają się one zresztą tak samo często jak i przepowiednie Hanussena, t. zn. nigdy. Jednak obydwaj prorocy prowadzą między sobą ustawiczną walkę i oskarżają się wzajemnie przed sądem o rozmaite oszustwa.

Niedawno Hanussen miał ciekawy proces sądowy ze... swoim własnym sekretarzem. Sekretarz ogłosił mianowicie, jakie mistrz Hanussen urządza kawały i jak wodzi za nos łatwowiernych berlińczyków. Hanussen obraził się i zaskarżył sekretarza do sądu. Podszas rozprawy „wielki prorok“ oświadczył, że może zawsze i ściśle przewidzieć, co się stanie za rok, a nawet za lat dziesięć i że myśli każdego człowieka nie są dlań tajemnicą. Dowcipny sędzia zapytał wówczas Hanussena, dlaczego nie przewidział, że zdradzi go własny sekretarz, przed którym Hanussen nie miał żadnych tajemnic? Na to pytanie Hanussen nie mógł jednak odpowiedzieć...

Hanussen i jego liczni konkurenci są jednak mało szkodliwi. O wiele niebezpieczniejsi są innego rodzaju prorocy, od których się aż roi obecnie w Berlinie. Podczas, gdy Hanussen daje wyłącznie porady niemedyczne, prorocy ci zajmują się przeważnie znachorstwem. Prawo niemieckie nie zabrania bowiem nikomu zajmowania się medycyną, jeśli tylko pacjenci na tem nie cierpią.

Jednym z takich „znachorów“ jest Józef Weissenberg. Leczy on wszystkie choroby przy pomocy... zwyczajnego białego sera! Niedawno pewna kobieta zachorowawszy na oczy, zwróciła się do Weissenberga po radę. „Leczył“ on ją tak długo, aż biedna kobieta zupełnie oślepła. Za tę historję, jasnowidzący cieśla — Weissenberg jest z zawodu cieślą — dostał parę miesięcy więzienia. Dodać należy, że odsiadywał karę nie po raz pierwszy: Józef Weissenberg był już wielokrotnie karany za rozmaite tego rodzaju oszustwa. Nie przeszkadza mu to jednak mieć liczne rzesze zwolenników.

Weissenberg zajmuje się zresztą nietylko znachorstwem. Poza tem, że wydaje, podobnie jak Hanussen, gazetę („Der weisse Berg“), stworzył niedawno własną sektę religijną i ogłosił, że jest jedynym i bezpośrednim przedstawicielem Pana Boga... Chociaż, może się to wydać dziwnem, ale faktem jest, że na kawał ten dało się wziąć tysiące łatwowiernych. Weissenberg odprawia teraz co tydzień wielkie nabożeństwa. Niedziela jest świętem chrześcijańskiem, sobota żydowskiem, a w piątek odpoczywają Mahometanie. Żeby nikomu nie wchodzić w drogę, pan Józef Weissenberg wybrał sobie za dzień świąteczny wtorek. Na kazaniach radzi wszystkim, żeby jedli jak najwięcej białego sera i we wszystkiem go słuchali.



Hypnotyzerzy (na zdjęciu) robią też niezłe interesy na naiwności kobiet berlińskich.

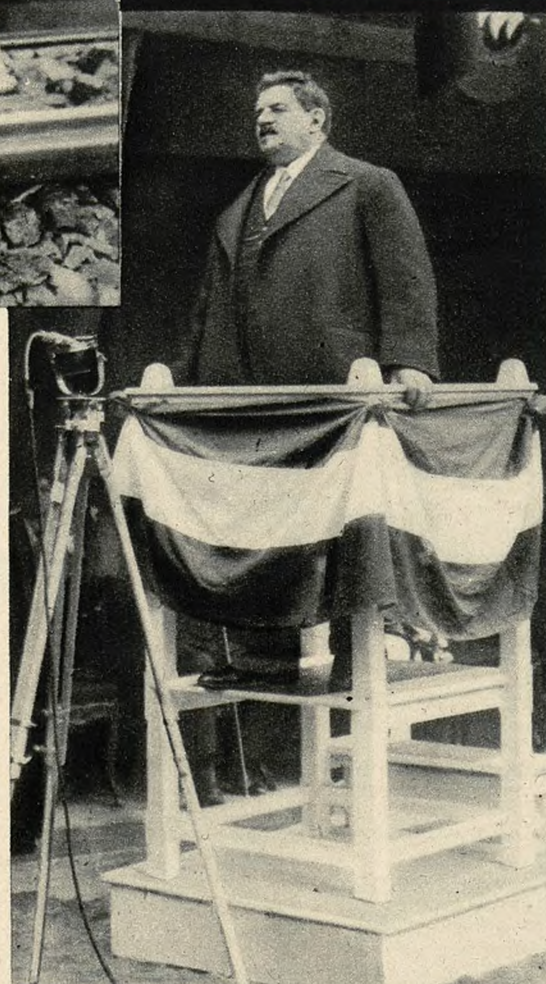
Od czasu do czasu Weissenberg przepowiada koniec świata. Zapowiedzi te są przytem zupełnie dokładne. Onegdaj na podwórku domu, w którym mieszka W., leżeli pokotem zwolennicy jego sekty, a na ulicy stały tłumy ludzi: cieśla zapowiedział koniec świata na godz. 12 o północy. Była to wielka sensacja, dzięki której policja wysłać musiała na przedmieście, gdzie mieszka Weissenberg, kilkudziesięciu policjantów; było tam również i wielu dziennikarzy, przeważnie amerykańskich.

Pół godziny przed „końcem świata“ Weissenberg wydrapał się na drabinę w śnieżno-białej todze i oświadczył, że przed chwilą „objawił“ mu się duch, który oświadczył, że koniec świata zostaje na pewien czas odłożony...

Zdawaćby się mogło, że we współczesnym Berlinie niema miejsca dla różnych Weissenbergów, Hanussenów i innych podobnych oszustów. Jednak jest tych „proroków“ coraz więcej, zwłaszcza w ciągu ostatnich miesięcy liczba ich rośnie w zatrważający wprost sposób. Jeden z tutejszych dzienników ogłosił, kilka dni temu, spis tych wszystkich pasożytów, żerujących na głupocie naiwnych i okazało się, że liczba ich przekroczyła dwa tysiące. Przyczyną tego są do pewnego stopnia ciężkie czasy i kryzys: ludziska, zwątpiwszy we wszystko, szukają zbawienia u proroków i jasnowidzów.

Zygmunt Schindler.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



USIŁOWANY ZAMACH NA HERRIOTA. Bretanja jest to półwysep w zachodniej Francji, obejmujący pięć departamentów (34.007 km. kwadr.) i liczący zgórą trzy miljony mieszkańców. Bretanja, zajęta w IV wieku po Chr. przez Celtów, którzy przybyli do niej z Wielkiej Brytanji, z biegiem czasu stała się państwem niepodległem ze stolicą Rennes. Dopiero w 1532 r. została ona wcielona do Francji. Do dziś dnia jednak około miljon sto tysięcy Bretończyków mówi językiem celtyckim. Fala nacjonalizmu, która po wojnie idzie ze wzmożoną siłą po całym świecie, przypomniała Bretończykom ich odrębność narodową i kazała im snuć sny o niepodległości. Ruch ten zaczęli wykorzystywać z jednej strony komuniści, a z drugiej tajni agenci Hitlera, w myśl zasady, że należy popierać wszystko to, co rozsadza i osłabia Francję. Pierwszym ostrzegawczym sygnałem tej roboty bretońskiej, było wysadzenie w powietrze dnia 7-go sierpnia b. r. pomnika zjednoczenia Francji i Bretonji w Nantes. W ubiegłą zaś niedzielę, korzystając z przejazdu premjera Herriota z Paryża do Nantes, usiłowali separatyści spowodować katastrofę pociągu, w którym jechał premjer francuski. Na szczęście budnik zawczasu spotrzegł rozkręcenie szyn (na zdjęciu) i zaalarmował władze kolejowe. Herriot pomimo zamachu udał się do Nantes i tam wygłosił przemówienie.



PIĘTNASTOLECIE REWOLUCJI ROSYJSKIEJ. Dnia 7-go listopada w całej Rosji obchodzono uroczyście piętnastolecie przewrotu bolszewickiego, który dał władzę Trockiemu i Leninowi i doprowadził do upadku chwiejnego i niezdecydowanego rządu Kiereńskiego. Straszliwym terorem zdołali komuniści zapewnić sobie panowanie nad państwem rosyjskiem i przeobrazili je do gruntu tak, że po tem, co było dawniej, nie pozostał dosłownie kamień na kamieniu. Dokonały się bowiem olbrzymie przemiany zarówno natury gospodarczej, jak i politycznej i obyczajowej. Nie dały one jednak Rosji szczęścia, lecz pogrążyły ją w niebywałym chaosie, a całe to olbrzymie imperjum zamieniły w społeczeństwo niewolników, gdzie nie ma miejsca na szczęście indywidualne, ale gdzie bytowanie jest straszliwą męczarnią, dla fikcji szczęścia ogółu. Na zdjęciu fragment pochodu w Moskwie w dniu święta piętnastolecia rewolucji.



ZAPAŁ WOJSKOWY W AUSTRJI. We wszystkich państwach europejskich daje się teraz zaobserwować ogromny napływ ochotników do wojska. Dzieje się to dlatego, ponieważ wielu młodych ludzi, nie mogąc znaleźć żadnego innego zajęcia, z konieczności obiera sobie zawód wojskowy, jako ostatnią deskę ratunku, chroniącą ich przed bezdomnością i głodem. Szczególnie w Austrji i Niemczech, gdzie rokrocznie odbywa się ochotniczy zaciąg do wojska, tłumy młodzieży stoją w ogonkach przed koszarami, aby zapewnić sobie egzystencję na pełnych dziesięć lat. Na zdjęciu ochotnicy, czekający przed koszarami.



EKSMISJA W ANGLJI. Przed wojną najlepszym interesem było posiadanie kamienicy. Przynosiła ona bowiem stosunkowo wysoki i pewny dochód, a właścicielowi swemu nie przysparzała zbytnich kłopotów. Od wojny światowej stosunki te zmieniły się radykalnie. Przyszła przedewszystkiem ochrona lokatorów, która ograniczyła prawa właścicieli kamienic, a reszty dokonał kryzys. Obecnie bowiem wielu lokatorów nie płaci komornego i to nietylko u nas, ale na całym świecie. Kamiecznicy więc nietylko, że nie mają żadnych dochodów, ale wobec niesumiennych lokatorów są zupełnie bezradni. Ani ich bowiem usunąć, ani też eksmitować nie mogą, lokatorów bowiem chronią przeróżne ustawy i dekrety, podyktowane humanitarnością. Gdy zaś wreszcie po długich i ciężkich cierpieniach, właścicielowi uda się uzyskać eksmisję lokatora, to wtedy naraża się na dalsze ciężkie przejścia. Eksmitowanemu bowiem, przychodzą z pomocą wszyscy sąsiedzi, a nieraz i rozmaitsze męty społeczne. Takie sceny są na porządku dziennym np. w Londynie, gdzie policjantów eksmitujących lokatorów przyjmuje ulica gradem kamieni, gorącą wodą, a nawet strzałami rewolwerowemi. Na zdjęciu wynoszenie ciężko rannego aresztowanego, który przeszkadzał przy eksmisji w Londynie.



ZNAMIENNE WIZYTY. Dnia 20 listopada bawił kierownik Stahlhelmu Franz Seldte (drugi od lewej) w Rzymie. Jeżeli tę wizytę wybitnego przywódcy Stahlhelmu, organizacji, na której opiera się sam prez. Hindenburg, zestawimy z niedawnemi odwiedzinami premjera węgierskiego Gömbösa w Rzymie, to widzimy, że współpraca niemiecko-włosko-węgierska żłobi sobie coraz głębsze koryto i że te trzy państwa maszerują ręka w rękę dla wspólnych celów, to jest rewizji istniejących traktatów.

FELJETON TYGODNIOWY.

Z ŻYCIA ÓS.

U schyłku jesieni słońce ukośnym promieniem ogląda się niejako poza siebie, by sprawdzić, czy wszystko z prac lata wykonało w porządku. Rozbudza się jeszcze w samo południe na chwilę krótką...

W taki moment, gdzieś z zakamarków ścian, dachów lub rynien, zbudzona złudą słońca, wyłazi zaspana mucha i stwierdziwszy, że właśnie dobra pora do wyszukania cieplejszej kryjówki, pcha się ociężale przez otwarte okno do mieszkania człowieka. Stąd to u kresu jesieni widujemy u siebie niezwyczajnych latem gości; więc i krówka-biedronka nierzadko wówczas maszeruje po futrynie okna ku zacisznym szparom i skórek, zwany niesłusznie szczypawką, też i muszyska najróżniejsze, nie wyłączając kołującego, aż do śmiertelnego skutku, wokół lampy wieczorami „szlachcica"; za niemi korowód pająków, poza tem nierzadko motyle dzienne, słowem wszystko to, co jeszcze ma siłę latać, czy łazić, a co dotąd ciepłej, bezpiecznej kryjówki na zimę znaleźć nie zdołało.

W takie to ciepłe południe minionych niedawno resztek jesieni zabzyknęła raz w otwartem oknie mojem złocista osa.

— Jakto? jeszcze nie śpisz? — zawołałem ku niej zdumiony.

Osy bowiem zapadają w zimowy sen wcześnie, skoro tylko człowiek zbierze z sadów resztę owoców i bartnik zaopatrzy już na zimę ule. Wówczas osy, głodne i nie widzące innego wyjścia z sytuacji, chowają się na sen w gniazda, zawczasu ulepione misternie w zacisznym gdzieś i od mroźnych wiatrów zabezpieczonym zakątku.

Osa moja była „moją" w całem znaczeniu; była bowiem mieszkanką gniazda, ukrytego w gęstwinie winogradu, pnącego się bujnie pod mojem oknem.

Nie stropiona wcale moim niegościnnym okrzykiem, raz i drugi bzykła mi koło uszu.

— Aha, głodnaś! — domyśliłem się i na blaszany parapet okna wycisnąłem jeszcze jakąś słodką kroplę ze szklanki od śniadania. Najwidoczniej cukier musi mieć jakiś specyficzny, choć dla nas nieuchwytny zapach, osy zaś odpowiedni węch, bo po niedługim krążeniu gość mój kropelkę znalazł i z widoczną rozkoszą ssawkę swą w niej zatopił. ...Nie wiem, czy słońce w tej chwili mocniej może dogrzało, ale zrobiło mi się momentalnie o wiele cieplej...

Ba! lecz kropelka na oknie po chwili znikła i osa krążyć poczęła niespokojnie tu i tam nie dość widocznie jeszcze posilona.

— Czekaj! — myślę — zrobię ci ucztę! Napchaj się do syta, byś zdrowiej i odporniej zimę przespać mogła!

I mówiąc to sobie, wyjąłem ze szafy bieluchną kostkę cukru i zwilżywszy ją nieco, położyłem na parapecie okna. Właściwie położyłem ją tam już wraz z osą, bo łakomiec ten jeszcze w ręce trzymaną kostkę opadł i ssać począł tak, że aż „brzuszek" w takt każdego „haustu" tańczyć począł komicznie to w górę, to na dół.

Nie długo to jednak trwało! Wkrótce osa, otarłszy nóżkami pyszczek, z bzykiem odleciała...

Przyznam się, że smutno mi się zrobiło!... Że też człowiek wszędzie szukać musi uczucia, wdzięczności uznania!... A do tego — taki kawał drogiego cukru! Chyba wyrzucić go teraz!...

I już wyciągnąłem rękę, by kostkę z okna zrzucić, gdy nagle wokół głowy posłyszałem liczne, głośne, jakby namiętne, lub grożące bzykania... — Mimowoli machnąłem ręką i cofnąłem się w głąb pokoju; lecz było to niepotrzebne, bo napastnicy w postaci sześciu złotych ós, obsiedli już ze wszystkich stron pozostawioną na oknie kostkę cukru...

— Takaś to ty mądrala?... — zakrzyknąłem uradowany, czując, jak niedawny jeszcze żal do „niewdzięcznej" osy, zbiera mi się na mokro pod powieką...

Och, cóż to była za „wyżyra"! Brzuszki tańczyły, jak w epilepsji!... Ale — widzę — za mało miejsca mają, zadużo ós na kostkę jedną. — Znalazły się jeszcze dwie; zwilżone już „siedzą" na oknie obok tamtej. Zrozumiały to osy i sprawiedliwie rozdzieliły między siebie teren: po dwie na każdej kostce, jakby co najmniej skończyły kurs wychowania społecznego! — Taki niezwykły dokument socjalnego równouprawnienia należy utrwalić! — pomyślałem i — niebawem — fotoaparat zrobił swoje...

Niedyskrecja ta moja uraziła jednak najwidoczniej jedną z ós, bo ledwo zatrzask klapnął, uleciała z głośnym bzykiem, jakby gniewnym, boć inaczej nie umiałem sobie wytłomaczyć faktu porzucenia przez nią tak słodkiego, wybornego cukru, gdy towarzyszkom jej ani się przyśniło popełnić tak kapitalne głupstwo!

— Ot, zarozumialstwo, nawet i u owadów! — myślę — pewno to jakaś elegantka, wściekła, iż uchwyciłem ją nieuszminkowaną na kliszę bez zapytania!...

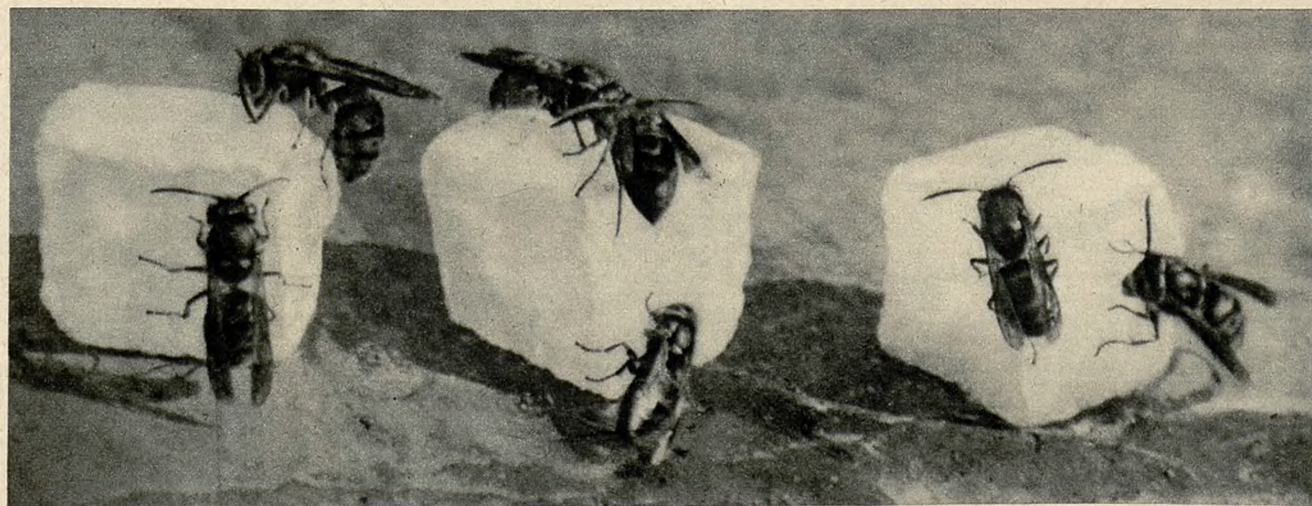
— ...Baj baju, a my na cukier, hurrrra! — zabrzęczało mi nagle ze wszystkich stron w uszach...

...Osłupiałem!... Toż to cała zgraja, tabun dziki!... I ze strachu czemprędzej zatrzasnąłem okno...

Tymczasem osy obsiadły cukier gęsto, tłocząc się i wzajem spychając. Było ich około trzydzieści!

...I nagle rzewność jakaś dziwna, gorąca chwyciła mnie za serce, za gardło... — „Zrozumiałem! — Moja pierwsza osa, w gnieździe widać najsilniejsza, nasyciwszy pierwszy głód, chciwie nabrawszy w siebie cukru, ile mogła, odleciała po raz pierwszy do gniazda, by posilić nim siostrzyce. Ale na wszystkie jedna taka porcja nie wystarczyła; więc przyprowadziwszy z sobą do kostek te, które siostrzaną miłością zasilone zdołały wzlecieć, po raz drugi dokonała tego charytatywnego aktu, zasilając resztę sióstr w gnieździe pozostałą, tak, że wszystkie zdążyły wykorzystać ...ostatnią łaskę słońca późnej jesieni i przypadkową ciekawość eksperymentującego „na zimno" przyrodnika!...

...Lecz... czyż istotnie „na zimno"? Czyż nie można tu ani słówka dodać o jakiemś uczuciu, o wdzięczności ós? ...Przecież patrzcie: oto zdjęcie, obrazek, najsilniej do zdziczałego sobkostwem rozumu ludzkiego przemawiająca nauka! Któż ją dał? — Przypadek? może sama się „wzięła" z niczego, jak z przyrody całej żywej najbiedniejsi ludziska chcą tłomaczyć początek Bożej wszechrzeczy?!... Nie! miłość ją dała, miłość wzajemna ós ku sobie i miłość szczera człowieka, która w świecie ludzkim z szyderstwem wyrzucona dziś na bruk, z rozpaczą błąka się po pustyni życia, szukając daremnie nowych prawd i nowych dróg, zapomniawszy, że odwieczna prawda i odwieczna droga miłości wzajemnej wszelkiej żywizny jedynie jest niezawodna!...



Ostatnia przedzimowa uczta ós. *Fot. prof. F. Teodorowicz — Poznań.*

Prof. F. Teodorowicz (Poznań).

KRAKÓW KU CZCI STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

Wbrew pesymistom, twierdzącym, że dzisiejsze zmaterjalizowane społeczeństwo nie odczuwa już dostatecznie głęboko wielkości duchowej, okazało się raz jeszcze, że prawdziwy genjusz sztuki zdoła nawet z poza grobu przemówić do serc szerokich warstw społeczeństwa i żywe obudzić w nich echa. Dwudziestopięciolecie śmierci Stanisława Wyspiańskiego stało się dla dzisiejszego pokolenia uczczeniem nietylko jednego z największych genjuszów poezji i malarstwa, jakich Polska wydała, ale i tego wśród nich, który dzisiejszą, państwową Polskę pierwszy przewidział, pierwszy do niej dążył, pierwszy zupełnie realnie ją w swojej duszy miał. W tem święcie, łączącem przeszłość z teraźniejszością, wzięła udział cała Polska, lecz głównem jego ogniskiem był Kraków. Było to naturalnem następstwem tego faktu, że St. Wyspiański urodził się u podnóża Wawelu, tutaj — pominąwszy swoje podróże zagranicę — cały swój żywot przepędził, tutaj tworzył swe genjalne poetyckie i malarskie dzieła i mimo wszelkie przeciwieństwa, dochodzące nieraz do bolesnego tragizmu, przez całe życie oddychał powietrzem kultury Krakowa, jako centrum życia narodowego Polski przedwojennej. To też już na kilka miesięcy przed właściwym obchodem zawiązał się w Krakowie komitet, pod przewodnictwem b. prez. Rady min. prof. Uniw. Jag. Juljana Nowaka, który prace swe organizacyjne przeprowadził z niebywałą wprost konsekwencją i zdołał dla jubileuszu Wyspiańskiego wzbudzić zainteresowanie w całej naszej Rzeczypospolitej. Wyrazem przejęcia się całej Polski tą doniosłą chwilą był udział przedstawiciela rządu p. min. WR. i OP. p. Jędrzejewicza we wszystkich uroczystościach krakowskich, jak również i zorganizowanie na ten czas ogólno-polskich zjazdów zawodowych Związków plastyków i literatów, oraz liczny udział delegatów, przybyłych ze stolicy i z innych miast polskich.

Obfity program uroczystości obejmował nietylko kilka dni, lecz i szerokie kręgi całego społeczeństwa, nie wpadając nigdy w jednostajność, lecz przeciwnie dając uczestnikom pełnię różnorakich wrażeń. W krąg wielkiego Genjusza wciągnięto i świątynie Boże i teatry, przodujące społeczeństwo osobistości i dziatwę szkolną, elitę świata duchowego, jak i szerokie masy uliczne.

To wszystko ujawniło się na zewnątrz w dźwiękach muzyki i melodji słowa śpiewanego, w podniosłych przemówieniach i w dramatycznych scenach, w nęcącej oko kolorystyce barw i w pełnym poważnego nastroju blasku pochodni, płonących wśród mroku wieczornego. Kraków jeszcze raz okazał swoją zdolność organizacyjną w tym kierunku i zadokumentował, że i w zmienionych warunkach ma wszelkie kwalifikacje, by być nadal duchową stolicą Polski.

Zaczęło się to już w czwartek dn. 24 listopada. W bazylice OO. Franciszkanów, którą genjusz Wyspiańskiego obdarzył przesławnemi witrażami, muzyka, śpiew i deklamacja złożyły się na „Misterjum", stanowiące przejmujący wstępny akord całokształtu obchodu. Następnego dnia Wieszczowi niepodległej Polski składała hołd młodzież szkolna. Najstarsza z krakowskich szkół średnich, gimnazjum Nowodworskiego, chlubiące się tem, że Wyspiański był jego uczniem, dokonało odsłonięcia tablicy pamiątkowej. W kilka godzin potem kilkutysięczne rzesze młodszej dziatwy szkolnej na starym czcigodnym Rynku krakowskim śpiewem chóralnym złożyły pokłon Temu, którego pamięć w miarę postępujących pokoleń niewątpliwie nie będzie słabnąć, lecz przeciwnie potężnieć. Sobota i niedziela, to były główne dni uroczystości. W świątyniach wszystkich wyznań liczne rzesze dziękowały Stwórcy, że Polsce dał Wyspiańskiego, wymowni kaznodzieje wielbili Jego ducha, drogą wielkiej sztuki dążącego ku Bogu. Jeden po drugim następowały poszczególne momenty programu uroczystości. Przekażmy historji najważniejsze z nich: więc Akademja w Teatrze Miejskim, w ciągu której p. min. Jędrzejewicz i wybitny przedstawiciel dzisiejszej literatury polskiej p. Kaden-Bandrowski złożyli hołd Wyspiańskiemu — poecie a zadeklamowane przez artystę Teatru p. Karbowskiego „Śluby Jana Kazimierza" Wyspiańskiego na tle pięknie brzmiącego chóru wskrzesiły fragment tylko, ale jakże bardzo głęboko odczuty Jego twórczości dramatycznej — więc otwarcie wystawy nieśmiertelnych, niejednokrotnie dzisiaj już trudno dla szerszej publiczności dostępnych dzieł Wyspiańskiego malarza w Pałacu Sztuki, połączone z odegraniem jego „Wejmaru", przez twórcę po niemiecku napisanego a na tę uroczystość przez p. Balickiego na język polski przełożonego, indywidualne, na wskróś oryginalne odtworzenie pamiętnych odwiedzin Adama Mickiewicza, u Goethego w r. 1789 — więc dwa uroczyste przedstawienia w Teatrze Miejskim, „Wesela" i „Wyzwolenia", których odświętność nietylko we frakach, ale i w podniosłym nastroju widzów się ujawniła — więc dokonane w obecności tłumu publiczności odsłonięcie tablicy pamiątkowej na ścianie domu, w którym, w mieszkaniu poety powstało „Wesele" — więc uroczyste posiedzenie Rady miejskiej, dumnej z tego, że On był niegdyś jej członkiem, brał żywy udział w jej obradach i na odcinku życia kulturalnego Krakowa silnie i śmiało niezależną nutę narodową akcentował, — więc wśród wieczornej ciszy, przesuwający się ulicami Krakowa olbrzymi pochód hołdowniczy rozmaitych organizacyj kulturalnych i społecznych, przy świetle pochodni zdążających ku miejscu wiecznego Jego spoczynku, ku Grobom Zasłużonych na Skałce — więc odbywające się pod Jego znakiem zjazdy zawodowe plastyków i literatów z przemówieniami, dowodzącemi, że sztandar ten to nietylko zabytek przeszłości, ale i drogowskaz przyszłości — więc rzewne w swym nastroju liczne drobniejsze obchody, przeznaczone czy to dla wojska, czy to dla młodzieży rzemieślniczej, czy też dla innego odłamu całego narodu, jednolitego w kulcie Wyspiańskiego. W poniedziałek dnia 28 listopada uroczystości zakończyły się znaczącym epilogiem. Rano w krypcie, gdzie spoczywają śmiertelne szczątki nieśmiertelnego Genjusza, modlono się za Jego duszę, wieczorem w teatrze żydowskim odegrano w języku żydowskim „Daniela" i „Sędziów" — jakby na dowód, że cześć dla Wyspiańskiego łączy wszystkich Polaków bez różnicy wyznania.

W szarzyźnie współczesnych dni przeżyliśmy chwile podniosłe, nietylko zgięliśmy kolana przed Zmarłym, lecz w żywej Jego puściźnie pokrzepiliśmy się na dalszą drogę jednostek i całego Narodu i Państwa.



Zebrane na Rynku krakowskim dzieci szkolne składają hołd Wyspiańskiemu.



Uroczyste posiedzenie Rady Miejskiej m. Krakowa, poświęcone pamięci Wyspiańskiego, który był członkiem tej Rady. Na zdjęciu moment przemówienia prezydenta miasta p. Beliny-Prażmowskiego (1), na trybunie referent prof. dr. Juljan Nowak (2), radca miejski i prezes Komitetu jubileuszu Wyspiańskiego. W fotelu na prawo: minister W. R. i O. P. p. Jędrzejewicz (3).



Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych uczciło Wyspiańskiego zbiorową wystawą jego dzieł (na zdjęciu) i akademją, w czasie której odegrano „Wejmar" Wyspiańskiego, w tłumaczeniu p. A. E. Balickiego.



Na placu Marjackim w Krakowie, gdzie stał dom, w którym Wyspiański napisał „Wesele" w r. 1900—1901, odsłonięto w ubiegłą niedzielę tablicę pamiątkową (na zdjęciu), zaprojektowaną przez artystę-rzeźbiarza p. Hukana. Przy tej okazji przemawiał znany poeta p. Jan Pietrzycki.

Starożytny kościół OO. Paulinów na Skałce mieści w swoich podziemiach groby zasłużonych Spoczywają więc tam: Jan Długosz, Henryk Siemiradzki, Adam Asnyk, Teofil Lenartowicz, Józef Ignacy Kraszewski i Lucjan Siemieński. Ostatnim, którego tam złożono był Stanisław Wyspiański. Na zdjęciu Skałka, iluminowana w 25 rocznicę śmierci Wyspiańskiego.



W niedzielę wieczorem przy świetle pochodni wyruszył olbrzymi pochód na Skałkę, gdzie delegaci poszczególnych grup złożyli wieńce na sarkofagu Wyspiańskiego (na zdjęciu).

CO MÓWI OSTATNI UCZESTNIK POLSKIEJ WYPRAWY DO KAMERUNU?



Kobiety z Kamerunu, zajęte wiosenną uprawą roli. Głównemi produktami Kamerunu są olej palmowy, kawa, kakao, kauczuk i tytoń, na sawannach rozwinięty jest chów bydła.



Roznosicielka wody z Kamerunu. Murzyni, zamieszkujący ten kraj należą przeważnie do plemienia Bantu.



Misja anglikańska na rzece Ogowe w Kamerunie.

W dniu 13 grudnia 1932 r. przypada 50-ta rocznica polskiej wyprawy do Kamerunu, albowiem właśnie 13-go grudnia 1882 roku wypłynęła z Havru do Kamerunu, na własnym statku „Łucja Małgorzata“ pierwsza polska wyprawa afrykańska pod dowództwem Stefana Rogozińskiego, b. oficera marynarki rosyjskiej. Wraz z Rogozińskim wzięli udział w wyprawie Klemens Tomczak, geolog i Leopold Janikowski etnograf, wszystko ludzie młodzi, a najstarszy z nich, Janikowski, miał zaledwie lat 27. Jedna myśl, jedno dążenie ożywiało trzech nierozłącznych towarzyszy. Mimo trudności, które od samego początku piętrzyły się przed nimi, postanowili wytrwać i pracować, by z pracy tej sławę u obcych dla Polski zdobyć i korzyść realną dla ojczyzny wynieść. Bez cienia jakiejkolwiek chęci osobistej korzyści o polskie tylko, a głównie o Rogozińskiego środki oparci, trzej bezinteresowni idealiści puścili się ku nieznanym krajom, by zbadać je i stworzyć tam podwaliny pod niezawisłą kolonję polską.

Ekspedycja osiadła na wysepce Mondoleh, w zatoce kamerunskiej, skąd w ciągu trzech lat urządzała wycieczki w głąb Kamerunu.

W r. 1884 Niemcy, rozglądając się po świecie za odpowiedniemi kolonjami, poczęli zakładać faktorje na rzece Kameruńskiej, a niebawem narzucać swoją władzę kacykom murzyńskim. Wówczas doszło do zatargu między Niemcami a Anglikami, którym już podlegały niektóre terytorja kameruńskie.

Nie mógł i Rogoziński, obdarzony przez niektóre plemiona zaufaniem do tego stopnia, iż powierzyły mu władze nad sobą, nie popaść w konflikt z zaborcą. Nie mogąc sam stawić czoła potędze najazdu niemieckiego udał się pod opiekę rządu brytyjskiego. Anglicy przez piewien czas starali się przeszkodzić pochodowi Niemców, ostatecznie jednak, zaplątawszy się w kłopoty wojenne na północnym wschodzie Afryki, zrezygnowali na rzecz Niemiec, którym w ten sposób dostały się ziemie, odkryty i zbadane przez Polaków.

Mając już teraz drogę wgłąb Kamerunu zamkniętą, zaniechać musieli Janikowski i Rogoziński (Tomczak zmarł w międzyczasie na czarną febrę) dalszej eksploracji kraju i r. 1886 wrócili do Warszawy, przywożąc z sobą bogate zbiory. Badaniami ekspedycji interesowały się koła naukowe zagraniczne, które określały ją jako polską wyprawę „Expedition Rogoziński“, a obaj uczestnicy wyprawy mianowani zostały członkami Towarzystwa Geograficznego w Paryżu, które zamieściło sprawozdania o pracach naszych podróżników i wydało w oddzielnej odbitce broszurę Janikowskiego „Fernando Po“.

Janikowski i Rogoziński długo nie wytrzymali na miejscu. Po krótkim popasie w Polsce ponownie wyruszyli do Afryki: Rogoziński, aby na Fernando Po nabyć plantację, która mu miała przynieść środki do dalszych eksploracyj, Janikowski zaś do frncuskiego Gabonu, aby kontynuować badania. Przez trzy lata Janikowski studjował okolice zatoki Corisco i rzeki Muni, gdzie przebywał wśród ciekawego plemienia ludożerczego Mpangue. Tutaj do r. 1890 gromadził dane o życiu tego plemienia, religji, zwyczajach, oraz bogate zbiory, których tysiąc kilkaset okazów przywiózł do kraju i ofiarował Muzeum Przemysłu i Handlu, zapoczątkowując w ten sposób Muzeum Etnograficzne w Warszawie.

Z uczestników wyprawy przy życiu pozostał jedynie Janikowski, obecnie dyrektor Muzeum Przemysłu i Handlu w Warszawie.

Złożyliśmy wizytę dyr. Janikowskiemu w jego mieszkaniu przyległem tuż do muzeum. Przyjął nas wysoki, siwy pan, na którym wcale nie znać było, iż liczy sobie 77 lat. Z energją i werwą. pozostałością chyba dawnych cech eksploratorskich zaczął opowiadać fragmenty ze swych przeżyć afrykańskich. Gdyby nie to, że obiad już stygł na stole, możnaby słuchać jeszcze kilkanaście godzin, takie barwne i emocjonujące były te przeżycia.

Na zapytanie jakie momenty z jego wypraw najsilniej utkwiły mu w pamięci dyr. Janikowski odpowiedział: „Trzy: — śmierć współtowarzysza i przyjaciela Klemensa Tomczaka, — walka z Niemcami o Kamerun — ucieczka przed atakiem ludożerców, podczas drugiej wyprawy. Tomczek umarł w drugim roku naszego pobytu na wyspie Mondoleh, podczas nieobecności Rogozińskiego. Byłem sam, gdy zachorował na czarną febrę. Byłem zupełnie bezradny. Przybyli na moje prośby misjonarze angielscy, oświadczyli, iż niema ratunku. W parę dni zmarł w strasznych cierpieniach. Była to dla mnie strata, która na jakiś czas poderwała mnie psychicznie.

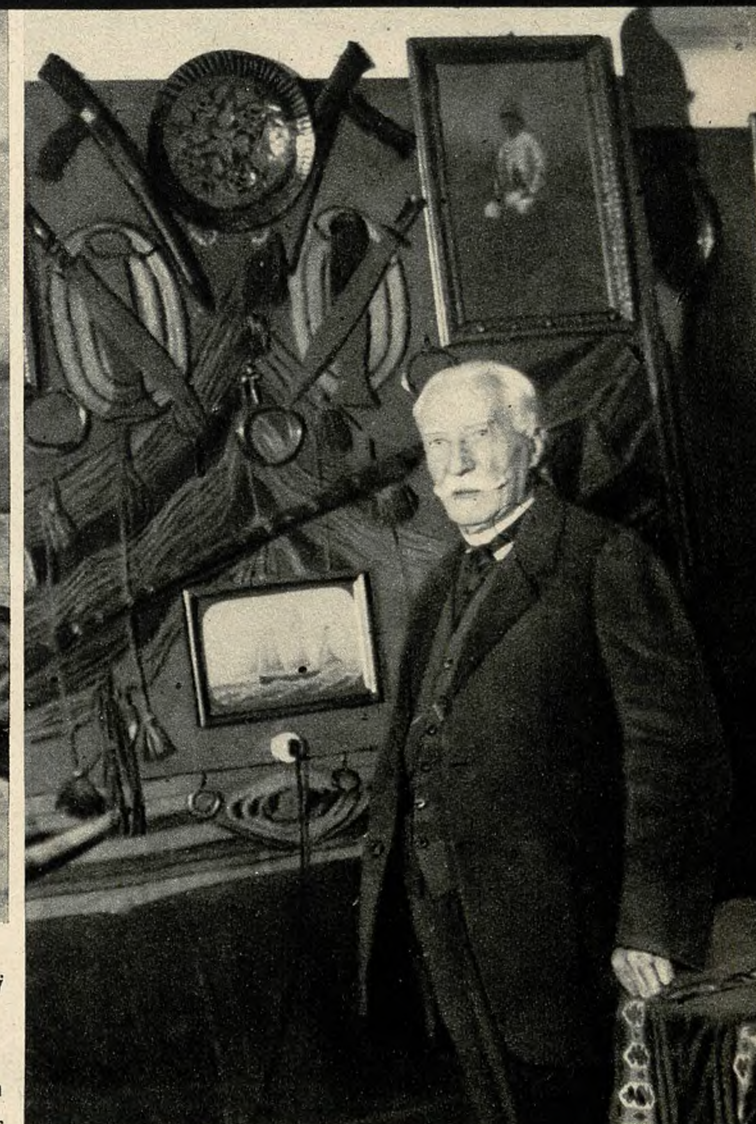


Klemens Tomczyk, uczestnik polskiej wyprawy do Kamerunu, zmarł w Afryce na żółtą febrę.



Stefan Rogoziński, kierownik polskiej wyprawy do Kamerunu

WSZYSTKIE ZDJĘCIA UŻYCZONE PRZEZ P. DYR. JANIKOWSKIEGO.



Dyrektor Leopold Janikowski, ostatni uczestnik wyprawy polskiej do Kamerunu, która wyruszyła z Hawru dn. 13. grudnia 1882 r. a powróciła w r. 1886 do Warszawy. P. Janikowski mieszka w Warszawie i jest dyrektorem Muzeum Przem.-Handlowego.

Podczas zatargu między Niemcami a Anglikami o Kamerun Rogoziński i ja byliśmy tymi, którzy dla Anglików podpisali w ciągu miesiąca 72 traktaty z kacykami murzyńskimi. Anglicy użyli nas do tego celu, dlatego, iż byliśmy w nader przyjaznych stosunkach z ludnością murzyńską i mieliśmy na nią duży wpływ. Akcja nasza, w której uprzedziliśmy Niemców, wywołała wielkie poruszenie w Niemczech i sam Bismarck wydał rozkaz, aby unieszkodliwić „zwei verfluchte Polen“. Na rzece Kameruńskiej stacjonowała stale fregata niemiecka, która czekała tylko na okazję, aby nas uwięzić. Trzeba trafu, że podczas powrotu z ostatniej misji traktatowej zmuszony byłem w powrotnej drodze przejeżdżać w pobliżu niemieckiej korwety. Nagle z korwety spuszczono na morze trzy łodzie i rozpoczęto ostrzeliwanie łodzi mojej z karabinów. Towarzyszący mi murzyni uciekli, mnie zaś zabrano na pokład korwety.

Niemcy oświadczyli mi, iż jestem aresztowany, i będę odstawiony do Europy, pozwolili jednak powrócić do Mondoleh moim towarzyszom. Udało mi się rozmówić z murzynami, którzy, zamiast do Mondoleh, popłynęli na moje prośby do Calabaru, gdzie znajdował się konsul angielski. Na moje szczęście do Kalabaru przepłynęły dwie kanonierki angielskie, które natychmiast wyruszyły na mój ratunek i zagrodziły wyjście z rzeki Kameruńskiej. Wobec energicznej postawy Anglików zostałem zwolniony. Najciekawsze w tej sprawie było to, iż w pobliskiem Fernando Po znalazła się powracajaca z podróży naokoło Afryki rosyjska fregata „Najezdnik“. Komendant jej, Grek Kałageras, dowiedziawszy się o mojem aresztowaniu, natychmiast udał się na rzekę Kameruńską i oświadczył komendantowi niemieckiemu, iż nie ruszy się z miejsca, dopóki nie otrzyma słowa honoru, iż Niemcy pozostawią nas w spokoju, jako poddanych rosyjskich. Niemcy zmuszeni byli dać słowo, a Kałageras tak nas sobie upodobał, iż zabrał nas na swoją fregatę, gdzie nas gościł przez tydzień, urządzając nieustanne bankiety.

Podczas drugiej mojej wyprawy, którą odbyłem sam w latach 1887—1900, przebywałem cały czas wśród plemienia ludożerców Mpangue, w zatoce Corisco. Po pierwszym okresie nieufności zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi kacykami. Domek swój wystawiłem nad rzeką Muni o kilkadziesiąt kilometrów od ujścia. Idylliczny nastrój trwał przez trzy lata. Nagle pewnego dnia spostrzegłem, iż domek mój otoczony jest ze wszystkich stron przez łodzie i oddziały ludożerców. Okazało sie, iż plemie Mpangue rozpoczęło wojnę z białymi. Powodem był fakt, iż jakiś Niemiec z faktorji przy ujściu rzeki zrzucił ze schodów kacyka, który przyszedł po miesięczną ratę za wynajem własnej żony. Ludożercy zmobilizowali wszystkie plemiona i wypowiedzieli wojnę białym. Wysłańcy oblegających mnie plemion oświadczyli, iż mimo całej sympatji, jaką czują do mnie, zmuszeni będą zabrać mnie wgłąb kraju, gdzie odbedzie się sąd. Ponieważ odmówiłem udania się z nimi oświadczyli mi, iż nastepnego dnia rozpoczną działania wojenne. Cud jakiś sprawił, iż niespodziewanie rozpętała się taka szalona ulewa, iż rzeka wystąpiła z brzegów i podeszła pod mój domek. Pod osłoną deszczu i nocy udało się mi wraz z trzema moimi murzynami przedostać się do ukrytej w krzakach nadbrzeżnych łodzi i uciec do morza z biegiem wezbranej rzeki. Był to najgroźniejszy moment z moich przygód afrykańskich“.

Pożegnaliśmy się z najstarszym z trójki zapaleńców, który jedyny z nich dożył uroczystej chwili pięćdziesięciolecia pierwszej polskiej wyprawy kolonjalnej. Może on z dumą i uczuciem spełnionego obowiązku opowiadać, jak w czasach niewoli miał odwagę z Rogozińskim i Tomczekiem porwać się na niezwykłe i śmiałe przedsięwzięcie przygotowywania gmachu pod praktyczne przeprowadzenie obojętnych wówczas społeczeństwu haseł kolonjalnych, które i dziś jeszcze niestety nie są dostatecznie oceniane.

Bocz. (Warszawa).

NARESZCIE PRZYSZŁA.



Motyw zimowy z Bukowiny. Jest to wieś, najmodniejsza obecnie na Podhalu obok Zakopanego. Leży w odległości 6 km od Poronina. *Fot. A. Wieczorek — Zakopane.*



Widok z Hali Gąsienicowej, najpopularniejszej stacji wypadowej narciarskiej w Tatrach, na Kościelec. *Fot. A. Wieczorek — Zakopane.*

Pierwsze zimowe spotkanie w górach.

W ciężkiej walce z halnemi wiatrami na graniach tatrzańskich przyszła zima. Pobieliła szczyty gór i delikatną, nieśmiałą okiścią pokryła świerki. Jeszcze gdzieniegdzie trzyma się liść na drzewie, a cienkie szkliwo lodu, nie wszędzie pokrywa stawy. Jestto ta chwila osobliwa, gdy jesień nie chce się jeszcze poddać nowej władzy, gdy pierwsze forpoczty zimy z trudem torują drogę swej królowej.

Z przepowiedniami zimy — jak zawsze — na dwoje babka wróżyła. Rybacy roznieśli niedawno wieść dla siebie radosną, że łosoś płytko kładzie tego roku ikrę. Ma to znaczyć, że w najbliższym czasie nie będzie grubego lodu, nie będzie zatem mrozów i nie będzie ciężkiej zimy.

Z nieufnością jednak patrzą rybacy ku Tatrom, których bielejące szczyty, zdają się mówić niedwuznacznie, że łosoś tego roku ryzykuje...

Inni znów wierzą drzewom, które tego roku stosunkowo długo trzymały liście na gałęziach. „Drzewo także jest mądre — mówią — i jeśli długo się zieleni, to znak nieomylny, że zima idzie zjadliwa“.

W niektórych okolicach naszych gór, górale snują horoskopy zimowe na podstawie większej, lub mniejszej ilości pewnych natrętnych stworzeń po mieszkaniach. Gdyby ta wróżba miała być prawdziwą, to niestety w niektórych okolicach naszego kraju, nigdyby chyba nie zawitała wiosna.

Jakiekolwiek byłyby przepowiednie zimy — jedno jest pewne. Oto nic nie powstrzyma tłumów narciarzy przed uprawianiem ulubionego sportu. Łososie mogą sobie zapowiadać, co im się podoba, drzewa mogą się zielenić bez przerwy — zapaleńcy śnieżnego sportu znajdą zawsze sposobność do pohasania po śniegu.

Jakże może być inaczej, skoro tysiące ludzi tej zimy oczekuje. Narty i turystyka zimowa dokonały przecież całkowitego przewrotu pojęć na temat zimy. Ze złej i groźnej pory, z okresu nudy, opatrywania okien, otulania się w futra i z okresu niewiele wartających rozrywek „ślizgawki pod wtór walca“ — zamieniła się zima w cud radości życia, zdrowia i siły.

Przemiany tej dokonały narty, w których tkwią emocje zdolne do ustawicznego odnawiania się.

Cóż więc dziwnego, że pierwsze płatki śniegu, które spadły już na skały tatrzańskie, niosą dla szerokich tłumów zapowiedź radości i wiary, że dawca tej rozkoszy — królewska zima — nie zawiedzie.

Rybacy, wróżący o zimie, patrzeć muszą ku dołowi... z nosem spuszczonym na kwintę. Narciarze patrzą ku górom. Z gór bowiem idzie nadzieja...

Narciarska zima będzie dobra...

Stanisław Faecher.



Widok z drogi na Halę Gąsienicową w Tatrach.
Fot. A. Wieczorek, Zakopane.



Słońce i śnieg są żywiołami narciarzy.

WIZYTA W PRACOWNI ARTYSTY-MALARZA.

JÓZEF KLUKOWSKI, artysta-malarz i rzeźbiarz, zdobywca pierwszej nagrody za płaskorzeźbę na Olimpjadzie w Los Angeles.

Trzy lata temu major Józef Klukowski, posiadacz stajni wyścigowej, instruktor w szkole artylerji konnej w Toruniu, nie przypuszczał zapewne, że dziś wyróżniony będzie pierwszą nagrodą za płaskorzeźbę na Olimpjadzie w Los Angelos.. Malarz, rzeźbiarz i twórca ciekawego filmu (interwiew filmowany) Klukowski zgotować nam może jeszcze niejedną niespodziankę. Ze stajni wyścigowej pozostały jedynie wspomnienia w postaci tabunów rozpędzonych rumaków, zapełniających ściany jego pracowni, lub wyrywających się z martwych i prozaicznych płaszczyzn serwetek bibułkowych, tej czy tamtej kawiarni Montparnasu; Klukowski rozmawia, spogląda na tętniące przed jego oczyma życie, rzuca okiem na piękne malowane kobiety i łamie swe wieczne pióro o bibułkowe serwetki... Nie tylko jednak konie stanowią pasję Klukowskiego. Łeb konia, główka kobieca, tygrys, żubr, przywiane z którejś krainy wspomnień, tworzą jego dorobek stale rosnący, stale nowy. Bo Klukowski maluje dla siebie, jak inny pisze pamiętnik. Tylko, że to nie zawsze popłaca...

Nie tu jest miejsce jednak na obwinianie społeczeństwa polskiego, które zapomina swych najlepszych synów! Major Klukowski nie pomstuje, nie zraża się niczem. Stale szuka nowych form, nowych sposobów wypowiadania się:

— Rodzaj techniki zależy w dużym stopniu od nastroju, mówi artysta.

Toteż wśród tysięcy jego rysunków i malowideł znaleść można akwaforty i akwarele (ciekawy m. in. „genre" japoński), olejne (stylizowane i rozwiązywane uprzednio geometrycznie), rysunki zwierząt (o linjach skąpych, najprostszych, niemniej, pieszczących każdy szczegół konturu objektu; Klukowski tak kocha zwierzęta...), pastele (dorównujące według opinji niektórych krytyków bodaj Delacroix)... Klukowski pracuje dalej pędzlem, ołówkiem, piórkiem, wiecznym piórem, tuszem i atrametami kolorowymi nawet, ze szybkością niebywałą, odkładając na wciąż rosnący stos, prace rozpoczęte i rozpoczynając znowu nowe. A wtedy zaczyna malować w inny sposób, próbować innych metod i dróg. I skromnie powtarza:

— Jeszcze nic nie umiem...

Rzecz dzieje się przed południem. Uliczka, kryjąca pracownię naszego mistrza, gości gęsto pracownie artystów. Wchodząc do domu wskazanego— gubimy się odrazu na dziedzińcu, niesamowicie dekorowanym rzeźbami, niemieszczącemi się w pracowniach. Tu niekiedy pracuje też Klukowski w lecie, tu nakręcono jego film... Znajdujemy wreszcie wizytówkę szukaną na drzwiach. Pukamy. Wchodzimy. Gospodarz jest właśnie w trakcie gotowania befsztyka. Zawartość patelni zdaje się tu tworzyć nieodzowną całość z kotarą, stosami rysunków i setkami obrazów, zapełniającymi każdy centymetr ściany. Fantazja prawdziwego Bohemy dała sobie w tem studio rendez-vous z temi cechami dodatniemi, które posiadać może niejeden brat — Cygan, jeśli nie roztrwoni bogactwa swego talentu. Klukowski roztrwonić nie ma czasu... Suszy właśnie pędzel, pochłania befsztyk i biegnie do pracowni rzeźbiarskiej, by wykuwać wprost w twardym bloku marmuru niewidzialne jeszcze dla nas kształty przyszłych arcydzieł.



Klukowski (pierwszy od lewej) na dziedzińcu swej pracowni paryskiej, w czasie nakręcania filmu.

Opanowany gorączką tworzenia, obudzoną nagle po oddaleniu się od codziennych zajęć służbowych — artysta zaczął bowiem pieścić również bryłę i kamienie, „odpoczywając" po malarstwie. Nie posiadał żadnych studjów poza sobą. Pomacku, stawiał pierwsze kroki w Paryżu. Ze swymi przyjaciółmi-końmi musiał stopniowo rozstać się. Życie jest drogie w Paryżu... Z pałaców w Placach Elizejskich, trzeba było zejść tu; trzeba było zamiatać pracownię, w której chciał pracować zadarmo... Bo konie niedługo potrafiły żywić ich pana i opiekuna. Nie zrażał się niczem i dalej kuł granit i marmur, wykłuwał i pieścił zimny kamień, wydobywając zeń na powierzchnię żywe i ciepłe postacie, pełne stylu i inwencji, pełne ruchu, który doprowadził je poprzez wszystkie przeszkody daleko, aż do mety jednego z etapów, do zwycięstwa Polaka nad przedstawicielami szesnastu narodów na Olimpjadzie w Los Angelos. Może wtedy spokojny, uśmiechnięty, pracowity major-artysta wspomniał z łezką w uśmiechu o swoich uczniach, którzy teraz właśnie biorą inne nagrody — pierwsze nagrody na konkursach i wyścigach konnych w Polsce... Może pomyślał też o wiernych koniach, które wyczynami swymi i biegami pozwoliły dojść mu do obecnego zwycięstwa.

Pęka jedno dłuto po drugiem. Pot ścieka Klukowskiemu z czoła. Pył stopniowo pokrywa wszystko wokoło. Czarne i bure koty, baraszkujące między marmurowymi i granitowymi tygrysami, czy lwami, stają się białe, jak twarz i ręce rzeźbiarza i jego tworzywo. Nastaje zmrok. Ale Klukowski kuje — kuje swą przyszłość, swe zadowolenie i sławę Polsce — napewno.

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

NIEUDAŁY EKSPERYMENT Z ZAAKLIMATYZOWANIEM RENIFERÓW WE FRANCJI.



Renifery w Wysokiej Sabaudji, w prowizorycznym schronie.

Zdjęcia: FRANCIS C. FUERST — PARIS.



Renifery zaprzężone do sań w swej ojczyźnie Laponji.

Przemysł „reniferowy", dający zyski Laponji, oraz na Alasce, przywiódł na myśl rozmaitym pomysłowym jegomościom przeniesienia hodowli reniferów do Szwajcarji, oraz w Alpy francuskie. Przypuszczano, że będzie można użyć tych sympatycznych zwierząt do rozrywek sportowych, a przedewszystkiem do t. zw. „ski-skjöringu", który stał się ogromnie popularny w rozmaitych uzdrowiskach zimowych w całej Europie.

Poza temi korzyściami natury sportowo-rozrywkowej, przemysłowcy obiecywali sobie nielada dochody ze skór reniferów, z ich pięknie ukształtowanych rogów, a wreszcie z ich mięsa. Prawdopodobnie trzebaby usilnej propagandy celem wprowadzenia mięsa reniferowego na rynek, gdyż nie jest ono zbyt smaczne. Być może jednak, że znaleźliby się snobi, którzyby chcieli jeść tą egzotyczną potrawę.

Pierwszą próbę z importowanemi reniferami przeprowadzono w zimie 1926/27 z inicjatywy Alberta Morand. Sprowadził on do miejscowości Megeve w Wysokiej Sabaudji (Francja) dwa renifery mocno „młodociane" prosto z Laponji. Zwierzęta te podrastały sobie, otrzymując bogatą paszę. Zechęcony tem powodzeniem, pomysłowy Francuz sprowadził nowe trzy pary, spodziewając się, że renifery rozmnożą mu się pomyślnie. W zimie renifery pasły się na otwartych przestrzeniach, zjadając liście Gladonji. Tylko w lecie karmiono je ziarnem. Tytułem eksperymentu wysłano zwierzęta w miesiącach letnich na wysokość 2.405 m. na pobliską Mont Joly. Żyły tam one zupełnie spokojnie i pasły się na stokach. Nie straciła się ani jedna sztuka i w jesieni sprowadzono je z powrotem na dół do ich zagród.

Okazało się jednak, że miejscowość Megeve niema wystarczającej wysokości dla tych zwierząt, gdyż leży zaledwie na wysokości 1113 m. Jeżeli nie wysyła się zwierząt w góry, to wówczas w miesiącach letnich cierpią one ogromnie od gorąca i od much, które powodują ogromne wrzody na ciele reniferów. Finał był taki, że większość reniferów zaczęła wymierać na skutek owrzodzenia.

Z dwudziestu reniferów, które przetransportowano do Francji, pozostał wreszcie tylko jeden, który ma być sprzedany jakiemuś innemu przedsiębiorcy. Wobec tego zaniechano dalszych prób z reniferami, uznając, że rzecz się nie udała.

Okazuje się jednak, że przedsiębiorcy włoscy są innego zdania. Oto bowiem kilku hotelarzy w miejscowościach włoskich, leżących w Dolomitach, postanowiło sprowadzić szereg reniferów z Laponji. Uważają oni, iż we Francji nie postarano się o odpowiednią aklimatyzację reniferów i że trzeba przeprowadzić ten proces powoli. Wtedy można doskonale utrzymać renifery w naszym klimacie. zg.

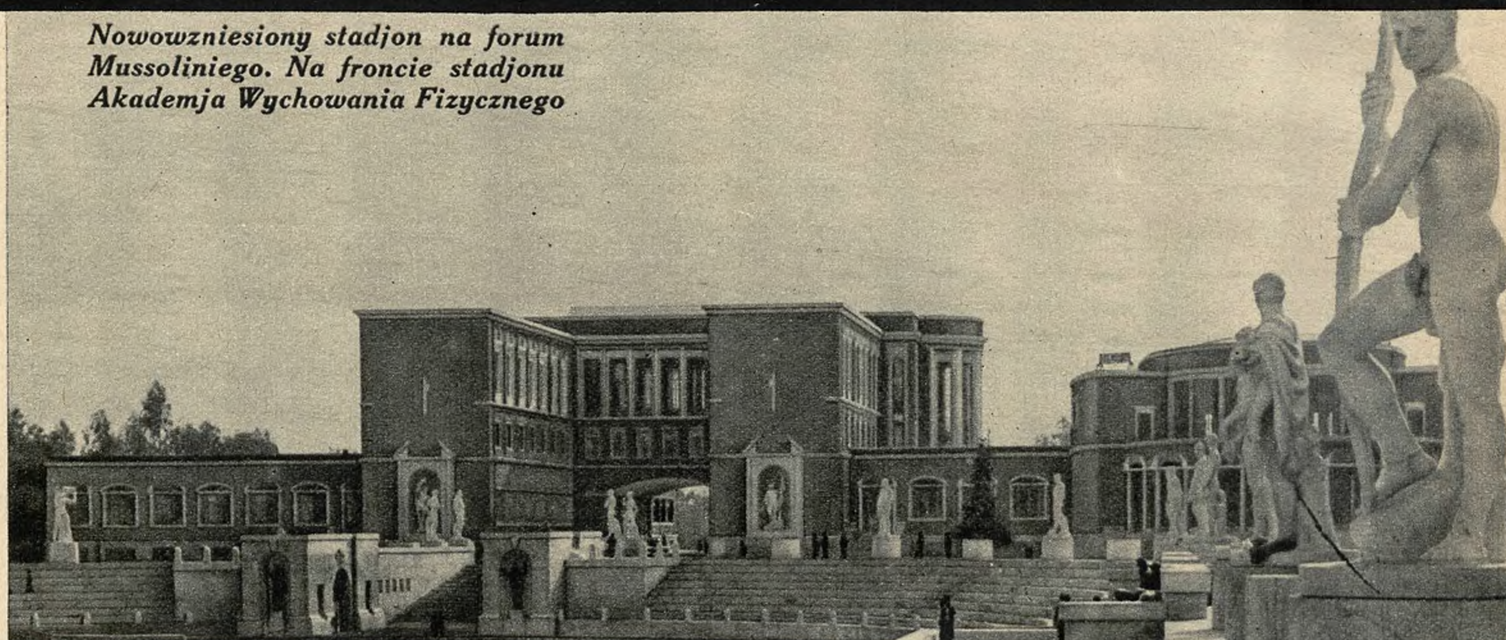


Renifery sprowadzone z Laponji, pasące się w Alpach francuskich.

GDY JULJUSZ CEZAR PATRZY NA RZYM MUSSOLINIEGO.

Rzym, w listopadzie.

Po 10 latach panowania Mussoliniego Rzym Papieży zmienił się znowu na Romę imperatorów. Wieczne Miasto zmieniło swój stary, średniowieczny strój, otrzymawszy od Duce godowe szaty Augusta. Może Numa Pompilius, ów król-arcykapłan, który poślubił Westalkę, sam będąc Sabinem, budując na Kapitolu 2.700 lat temu świątynię na cześć Jowisza Grzmiącego i patrząc w oczy tajemniczej Nimfy Egerji, widział Romę taką, jaką później rozbudowali Tarquinius Priscus, boski imperator Octavianus Augustus, który po nieśmiertelnym Cezarze objąwszy rządy wielkiego imperjum, wznosił takie budowle, jak Curia Julia, Basilica Julia, Forum Augusta, świątynie Marsa Mściciela, Aedes Divi Julii, Rostra, Milliarum Aereum, teatr Marcella, Porticus Octaviae, Termy Cajusa i Luciusa i Mausoleum. A po 2.000 lat przychodzi syn kowala, przez naród cały ze czcią nazywany Duce i nietylko odkrywa stare miasto i imperatorów, ale buduje nowe pomniki, niemniej wielkie i niemniej potężne, jak to czynili: Numa Pompilis, Ancus Martius, Tarquiniusz Pyszny, Juljusz Cezar, Octavianus Augustus, Septym Sever i Hadrjan — wielcy budowniczy z imperjum Romanum.



Nowowzniesiony stadjon na forum Mussoliniego. Na froncie stadjonu Akademja Wychowania Fizycznego



Via del Mare, po prawej stronie róg teatru Marcellego.

Roma imperatorów zmartwychwstała! Wokoło Kapitolu Mussolini kazał zburzyć kilkaset domów, wydobywając na światło dzienne pomniki Romy królów, konsulów i imperatorów. Ruiny starej topografji miasta zaczynają się na prawo do Piazza Gesu, t. zw. Forum Argentina, na którym mamy z epoki konsulów trzy wspaniałe świątynie Westalek i kilka innych, niemniej ciekawych pomników.

To Forum wydobył Mussolini dopiero dwa lata temu, a jeszcze dziś pracują tam robotnicy nad uporządkowaniem i ułożeniem wykopanych kolumn, kapiteli, posągów itp.

Idąc w stronę Tybru od tego Forum, widzimy znowu inne pomniki z epoki imperjum Romanum, które do tej pory drzemały w blokach kamienic, gdy wandalizm średniowiecza burzył wszystko, co było pogańskie, albo zamurowywał w gromadę wąskich i brudnych uliczek. Jednym z pierwszych pomników takiego wandalizmu jest teatr Marcellego, zbudowany pracą Octaviana Augusta na cześć zięcia Marcellusa. Był to, w formie areny, piękny teatrzyk na 20 tysięcy osób. Tytus, budując później Colosseum, wzorował się właśnie na teatrze Marcellego. Przyszły wieki średnie i wandalizm rzymskich arystokratów sprawił, że teatr ten został zamieniony na mieszkania. Przyszedł Mussolini i kazał Teatr Marcellego doprowadzić do pierwotnego stanu. Dziś można rozpoznać teatr Marcellusa. Obok niego, od strony placu Weneckiego, Mussolini otworzył szeroką, wspaniałą ulicę, pod nazwą via del Mare. Nie tak dawno, bo 5 lat temu, na tem miejscu wznosił się blok domków brudnych, odrapanych, o wąziutkich uliczkach, że ledwo można było przejść, a Kapitol był zakryty, jakby to było miejsce, którego nie wolno pokazywać słońcu i ludziom.

Największych jednak robót dokonał Mussolini z drugiej strony Kapitolu, gdyż zburzył całą dzielnicę, wydobywając na światło dzienne: Targi Trajana, Forum Augusta, Forum Juljusza Cezara, a otworzywszy w prostej linji nową autostradę pomiędzy Forum Romanum i Juljusza Cezara z jednej strony, a Forum Augusta z drugiej, połączył plac Wenecki z Colosseum, dając w ten sposób Rzymowi najpiękniejszą dzielnicę, pełną zieleni i kwiecia, t. j. via dell'Imperio. Jest to via, biegnąca pomiędzy ruinami imperjum Romanum, obsadzona pinjami i laurem, a posąg bronzowy Juljusza Cezara, umieszczony w zieleni lauru, w pobliżu pomnika Wiktora Emanuela i „Nieznanego Żołnierza", zdaje się patrzeć na Rzym Mussoliniego i podziwiać ten wielki zmysł artystyczny Duce i jego potężny rozmach budowniczy.

Via dell'Imperio — w dzień i wieczorem — to bajka czarowna, albowiem wśród starych kolumn i świątyń szumią korony pinij, szemrzą fontanny, a światło słońca igra po asfaltowych jezdniach, jakby robiło wyścig z tysiącami motorów, które w tę i tamtą stronę pędzą. A w nocy miljony lamp reflektorowych, puszczone z wyżyn Kapitolu i placu Weneckiego, kąpią tę via dell'Impero w srebrnej wannie złotych fal ognia, a wśród strzaskanych świątyń i kolumn Forów i Colosseum powstaje życie starej Romy...

I to jest serce imperjum Romanum, serce, które z pod gruzów i zwalisk wydobył Mussolini i w całej swej krasie pokazał nietylko własnemu narodowi, ale i światu.

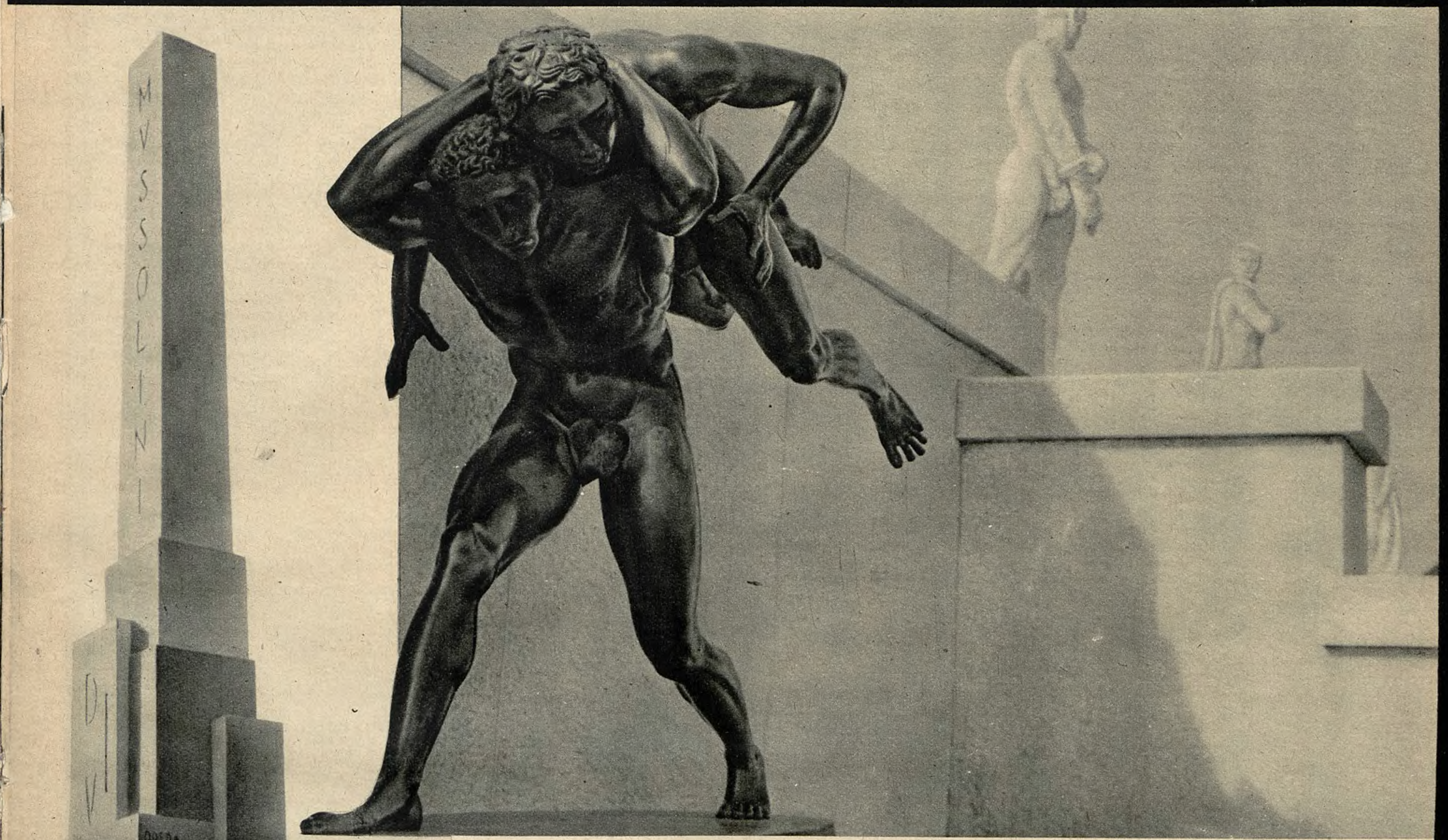
Ale to jest tylko Roma królów, konsulów i imperatorów!

Na krańcach miasta, w stronę morza, gór albańskich i sabińskich, powstaje druga Roma, którą przyszłe pokolenia będą oglądać z takim samym podziwem, jak my dziś oglądamy Kapitol, Palatyn i Fora imperatorów...

Tam na krańcach powstaje nowa Roma, Roma Mussoliniego.

Sercem tej nowej Romy będzie przyszłe Forum Mussoliniego. Powstaje ono z woli i genjuszu Duce po drugiej stronie Tybru pomiędzy rzeką, a wzgórzami Farnesina. Będzie to Forum, które swym ogromem zaćmi Romę królów, konsulów i imperatorów, tak co do przestrzeni, jak również i co do budowli. W pierwsze dziesięciolecie postawiono na tem Forum kolumnę Mussoliniego, z jednego bloku karraryjskiego marmuru, zakończoną u góry wielką bryłą złotego kruszcu w formie ściętego stożka.

Jest to dar dla Duce od legjonów młodzieży faszystowskiej, zgrupowanej w organizacji Balilla. Obok tego obelisku wzniesiono wspaniały pałac w stylu nowożytnym, wyłożony marmurem z zewnątrz i wewnątrz. Jest to gmach Akademji Wychowania Fizycznego. W tej akademji, którą Mussolini powołał do życia 3 lata temu, wychowuje się instruktorów dla legjonów młodzieży fazystowskiej. Dalej nieco, poza Akademją, widzimy jeden z najpiękniejszych pomników, jaki wydała na świat epoka faszystowska po 10 latach swego panowania. Jest to stadjon z białego karraryjskiego marmuru w formie areny na 20 tysięcy widzów. Wokoło tej areny ustawiono na okrągłych cokołach 90 postaci, przedstawiających sportowców wszystkich dziedzin sportu. Pomniki ofiarowały wszystkie prowincje półwyspu apenińskiego.



Obelisk Mussoliniego z napisem: Mussolini Dux.

Grupa zawodników (bronz) na forum stadjonu Mussoliniego.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA WYKONAŁA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

Z boku tego stadjonu jest wielka loża, wykuta z białego marmuru dla Duce i jego otoczenia. A po obu jej stronach ustawiono bronzowe posągi zmagających się zawodników.

Ten stadjon — to niejako świątynia sportu, wielki ołtarz, na którym fizyczne popisy młodzieży będą mogły święcić triumf w radosne dni Twórcy faszyzmu.

Na lewo od marmurowego stadjonu na Forum Mussoliniego przygotowuje się drugi olbrzymi stadjon naturalny, wyżłobiony w ziemi w formie olbrzymiego amfiteatru na 200.000 widzów. Za rok ukończony, będzie największem polem sportowem Rzymu, godnem Romy Mussoliniego.

A wokoło tego Forum powstaną pałace i pomniki tej miary, co samo Forum, t. j. miary Mussoliniego.

Jeszcze lat dziesięć rządów Duce w Italji, a nowa Roma, będzie metropolją świata, magnetycznie przyciągającą ku sobie wszystkie narody jak dziś przyciąga je via dell'Imperio, via del Mare i Forum Mussoliniego.

Gustaw Lawina.



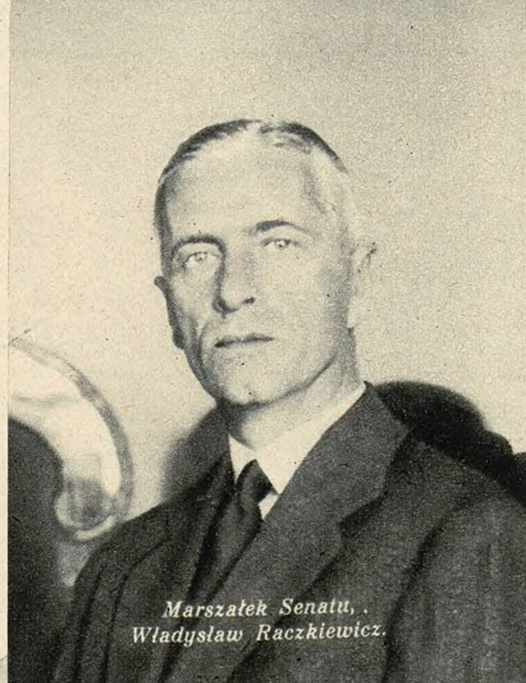
Bronzowy posąg Juljusza Cezara przy Via dell'Imperio.

1922 DZIESIĘCIOLECIE SENATU R. P. 1932

Dnia 28 listopada 1932 r. przypada dziesięciolecie istnienia Senatu Rzeczypospolitej Polskiej. Genezę Senatu w dawnej Polsce stanowiły t. zw. wiece urzędników książęcych za czasów piastowskich (Mieszko i Bolesław). Za czasów Łokietka i Kazimierza Wielkiego przy zbieraniu rozbitych ziem piastowskich wiece poszczególnych ziem łączyły się w jedno — tworząc stopniowo t. zw. Radę Królewską. Rada Królewska miała ogromne wpływy na ówczesny bieg spraw politycznych państwa. Między innemi jej dziełem była np. Unja Litwy z Polską. Rada Królewska w wieku XIV nazywa się już Senatem. Pod koniec wieku XV, w chwili wyraźnego tworzenia się parlamentu polskiego, Senat stanowi osobną Izbę parlamentu — Izbę Senatorską, która następnie ulega różnym ewolucjom, przybierając charakter mieszany Rady Królewskiej i Izby parlamentarnej. Konstytucja 3-go Maja 1791 r. ustala wyraźnie zakres działania i skład Senatu. Senat pojawia się następnie w krótkim okresie Księstwa Warszawskiego, oraz Królestwa Kongresowego.

W Polsce Odrodzonej wskrzeszenie Senatu nastąpiło po uchwaleniu Konstytucji dnia 17-go marca 1922 r.

28 listopada 1922 r. Naczelnik Państwa Marszałek Józef Piłsudski, otwierając pierwsze posiedzenie Senatu, podkreślił, że „wielką jest tradycja Senatu w Polsce. Praca i wytrwałość senatorów wpływały na losy kraju, lecz Konstytucja obecna zakreśla Senatowi rolę skromniejszą“. Następnie zwracając się do pp. senatorów, Marszałek powiedział:



Marszałek Senatu, Władysław Raczkiewicz.

„Przy wybujałej, nie zwykle ostrej, choć często bezskutecznej walce ugrupowań politycznych, brak poczucia miary stanowi nieraz o wysokiej szkodzie dla tego, co wszystkim jest drogie. Pozwólcie więc Panowie wyrazić życzenie, abyście stawali zawsze po stronie tych, którzy czy to z urzędu, czy ze skłonności łagodzą tarcia, zmniejszają konflikty i doprowadzają do koniecznej równowagi zamierzeń, celów i środków“.

Na pierwszem posiedzeniu Senatu przewodniczył najstarszy wiekiem senator Bolesław Limanowski. Marszałkiem Senatu w pierwszej kadencji 1922—27 został wybrany b. marszałek Sejmu Ustawodawczego, Wojciech Trąmpczyński. Marszałkiem Senatu w kadencji 1928—30 był prof. Juljan Szymański. Na marszałka Senatu w trzeciej, obecnej kadencji 1930 r. wybrano Władysłakwa Raczkiewicza, wieloletniego wojewodę wileńskiego, b. ministra Spraw wewnętrznych.

W zakresie pracy ustawodawczej rola Senatu ograniczona jest przez brak inicjatywy. Senat rozpatruje te projekty ustaw, które uchwalił przedtem Sejm. Senat może, albo przyjąć projekt ustawy bez zmian, albo wprowadzić poprawki, które następnie rozpatruje Sejm, albo odrzucić ustawę. W tym ostatnim wypadku projekt ustawy upada. Senat korzysta z tego prawa w wyjątkowych wypadkach. Dotychczas odrzucono zupełnie 7 projektów ustaw.

Konstytucja z dnia 17 marca 1921 r. ograniczyła kompetencję Senatu, jednakże zrównała Sejm i Senat w dziedzinie uprawnień dotyczących zmiany Konstytucji, postanawiając w art. 125, że zmiana Konstytucji może nastąpić większością 2/3 głosujących i w Sejmie i w Senacie.

Zagadnienie naprawy Konstytucji w Senacie uważane jest za najważniejsze zadanie doby obecnej. Marszałek Senatu, Władysław Raczkiewicz, zwracał parokrotnie uwagę Senatu, że „naprawa zasadniczych praw Rzeczypospolitej góruje nad wszystkiemi pracami, jakie w czasie tej kadencji spełnić mają Izby Ustawodawcze“.



Prof. dr. Juljusz Szymański, b. marszałek Senatu od roku 1928—1930.



Posiedzenie Senatu. Przewodniczący p. Marszałek Raczkiewicz. Na ławie rządowej drugi wiceminister Spraw Wojskowych gen. Sławoj-Składkowski.



Dr. Wojciech Trąmpczyński, b. marszałek Senatu od r. 1922—1928.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWIDA“.



Dyrektor biura Senatu p. Adam Piasecki.

Fragment kuluarów gmachu Senatu Rzeczypospolitej.



Senior woźnych Senatu p. Basiński przy tablicy, na której wypisywane są terminy posiedzeń komisyj.

Pani w negliżu.





Wraz z modą sukien i okryć, rozwija się i przechodzi swe ewolucje moda damskiego negliżu, równie ciekawa i pełna niespodzianek, choć mniej się o niej mówi i słyszy. Oddaliliśmy się niepowrotnie od czasów, gdy dessous było podrzędną częścią garderoby. Dziś harmonizuje ono z suknią, jest jej nieodzownem uzupełnieniem i niemal każdy rodzaj tualety wymaga specjalnego dessous.

Miniaturowe kształty koszulki dziennej i kombinacji, koniecznej przy króciutkiej do niedawna sukience, wydłużyły się nieco przy obecnych sukienkach do użytku codziennego a przy sukniach wieczorowych i balowych nosi się je odpowiednio dłuższe o kloszowym najczęściej kroju, który korzystny jest przez to, że nie wymaga ani zmarszczek ani fałdów na biodrach, co mogłoby tylko poszerzyć linję, a tę zachowujemy wciąż jednakowo wysmukłą.

A nietylko w kroju naśladuje dessous suknię, pod którą się je nosi. Także i kolor nie jest obojętnym. Najczęściej dostosowuje się barwę dessous do sukienki, dając co najwyżej ton cokolwiek jaśniejszy. Jedynie kolor jasno-różowy jest z powodzeniem używany do różnych sukienek jako najbardziej neutralny, ze względu na pokrewieństwo z karnacją ciała. Do sukien i tualet czarnych bardzo korzystnie wygląda dessous w czarnym kolorze, bardzo eleganckie zwłaszcza z koronek.

A kiedy Pani wraca do domu i zechce wygodnie odpocząć w domowym stroju, ma do wyboru albo szlafroczek, niby staroświecki, lecz w licznych całkiem „modern" odmianach, lub też nowoczesną „pyjamę". Nie jest już ona ostatnim krzykiem mody i spowszedniała do tego stopnia, że nie budzi żadnych sprzeciwów. Przyzwyczaili się wszyscy do tego kapryśnego niewieściego stroju.

Pyjama wycofała się jednak z sal balowych i salonów, gdzie królowała ubiegłej zimy, przeszła na plaże nadmorskie latem, a pozostanie nadal faworytką w tualecie domowej, jako strój wygodny a nawet cieplejszy od szlafroczka. Gdy jednak ten moment nie wchodzi w grę, staje się pyjama istnem cackiem cieniutkich jedwabi i koronek, które z ubioru tego, zapożyczonego krojem z męskiej garderoby, czynią strój „par exellence" kobiecy.

W. W.

Koronkowa kombinacja pod czarną sukienkę.

Powyżej na prawo: Strojny szlafroczek z łososiowej crepe satin. Rękawy wykończone bogato pleureuse'ami.



Aksamitna pyjama „pierrot" z białą krezą wokół szyi i rękawów.

Obok: Filigranowych wymiarów kombinacja z różowej crepe satin. Gwiazda filmowa Stella Terry wygląda w niej uroczo, paląc w zadumie papierosa.



W LABIRYNTACH ULIC WILNA.



„Zaułek“ wileński w nocy, w dali wieża kościoła św. Jana.
Fot. Z. Zdanowski, Wilno.

Każde miasto ma swój odrębny charakter, każda z ulic miasta przemawia do człowieka innym głosem...

Ulice fabryczne pulsują rytmem wielkich maszyn, toczą się po nich z hałasem ciężkie ładowne wozy, ulice i arterje handlowe kipią nerwowem życiem ludzi z pod znaku Merkurego, poważne City urzędnicze, gmachy którego pysznią się złotemi napisami urzędów i herbami ambasad, ciche są i skupione, jak każda wielkość...

W skwerach i ogródkach miast dźwięczy wesoły śmiech dziecięcy i skrzypią, przez niańki posuwane wózki dziecięce...

Tak jest w każdem mieście, we wszystkich państwach od Przylądka Dobrej Nadziei, aż po Ziemię Franciszka Józefa...

Tak jest wszędzie... Tylko nie w Wilnie.

W Wilnie jest inaczej, gdyż Wilno jest najzupełniej różne od wszystkich miast na świecie. Gdy cichy welon mgły porannej zesnuje się bezszelestnie z góry Zamkowej, potarga się o liczne wieżyce kościołów Wilna i spłynie ku rzece, Wilno żyć zaczyna...

Serce miasta i ulic cichutko i nieśmiało zakołacze raz i drugi, z cichych zakamarków doleci tupot czyichś nóg, a potem odezwą się głosy senne jeszcze i zaspane. Od rogatek miasta, jak sznur szarych gęsi suną wioskowe kałamuszki długim szeregiem, na targi...

Z mlekiem, z drobiem, jajami — ot z całą chudobą i biedotą wiejską...

To pierwsze głosy ulicy Wilna...

Jest piąta rano na zegarze katedralnym, i śpią smacznie jeszcze trębacze, co południe na wieży katedralnej grać mają, a już o Stanisławowski portyk bazyliki odbija się pierwsze echo wozów włościańskich. Wóziki małe, grochowinami wysłane, konie w „dukach“, łukiem nad głową końską podtrzymujące dyszle i postacie woźniców zakutane w cieplusieńkie kożuchy...

Na rynkach „Drewnianym“, „Łukiskim“ i „Zarzecznym“ życie powoli pulsować zaczyna...

Schodzi się świat niewieści, najprzeróżniejszego autoramentu. „Paniusieczki“, a i te zwyczajne służące. Wszystko to z koszami z werwą do targowania się z plotek zapasem, a z nowinkami...

Babiniec cały.

Wileńska Rzeczpospolita babińska. Ale miasto śpi jeszcze. Nocni tylko stróżowie źli i zaspani ze zdumieniem słuchają, jakie to mlewo po szynkach się rozchodzi.

— Ci widziałasz pani moja. A toż ona niewiasta żeniata i coś takiego. Prosto paszkuctwa.

— A on w ta pora nic nie wiedzący, a kocha ją, a hołubi.

— Ot jakie to ludzi i jaki czasy nastawszy...

Chodźmy jednak od babińca tego, bo i włościanie zirytowani zbyt długim targiem, sięgają do zbyt soczystej terminologji...

Pójdźmy na stare miasto...

Św. Anna i Bernardyny, zapłonęły już rumieńcem poranka, a wesoły szmer Wilenki miesza się z radosnym świergotem całych stad wróbli i dzieciarni szkolnej. Dudni to bractwo nożętami wesoło po mostach i maszeruje do szkoły...

Przy mostku obrał sobie siedzibę dziadyga jeden stary, który zależnie od pory roku jest głuchoniemy, ślepy, bądź sparaliżowany. Od czasu do czasu przewiązuje sobie którąś z kończyn czerwoną chustą, która nie może stanowić konkurencji jego pąsowemu nosowi.

Dziadek ten otrzymuje sowite datki od szkolnej dzieciarni, co wpływa na niego tak rozczulająco, że już koło południa bywa najdokładniej pijany.

Gdyśmy już odróżnili szkarłat jego chusty od pąsu nosa, idźmy dalej. Tu zaczyna się dzielnica wielkich pamiątek Wilna.

Z domu, na którym widnieje napis: „Tu mieszkał Mickiewicz“, dolatuje nas potężny baryton psa owczarka, który znudzony oczekiwaniem na



Typowe, wileńskie sanki przed Ratuszem.
Fot. Z. Zdanowski, Wilno.

śniadanie, żali się szarym gołębiom, a tam, gdzie „umarł Syrokomla“, dwie niewiasty, o typie wybitnie staro testamentowym, dyskutują w narzeczu rosyjsko-mejszagdskim... Ogród Bernardyński strząsa ostatnie krople snu z gałęzi i budzi się do całodziennej obserwacji... Spoglądając przez jego kolumnady, można w tym czasie zobaczyć jadącego autem pana wojewodę, sunących urzędników, bądź wspaniałe karosze starostwa grodzkiego, pędzące jak tu się mówi „policmajsterskim kłusem“...

Gdy pójdziemy na lewo, zobaczymy nowo ułożoną jezdnię klinkierową, którą magistrat Wilna puszy się tak, jak paw swym ogonem, gdyż jest ąż tego dwadzieścia cztery metry kwadratowe, ale za kilkadziesiąt lat będzie drugie tyle. Ulica Zamkowa (klinkierowana) stanowi też stadjon dla amatorów kołowego sportu i nigdzie też w Wilnie tylu rowerzystów się nie spotka, jak tu.

Ponieważ jest to główna arterja handlowa Wilna, jest ona mało odwiedzaną, bo dziś już coraz mniej się kupuje i bardzo łatwo daé się nabrać.

Gdy się chce np. kupić u Baty parę butów, gdyż jest tam tanio i dodają do tego garnitur męski i gramofon, w ostatniej chwili człowiek się dowiaduje, że „B-cia Nowiccy“ dają to samo i dodają prócz tego gazową kuchenkę i szczotkę do zębów...

Od czasu do czasu, przemknie ulicami Wilna wspaniały wóz autobusowy, który dostosowawszy się do tempa ruchu wileńskiego, jeździ nader rzadko, ale za to bardzo powoli...

Przed kolumnowym portykiem starego ratusza (dzieło królewskiego architekta Gucewicza), dostać można wszystko za bezcen...

Chałwę grecką, celulojdowe grzebyki, Yo-Yo itp. utensylja codziennego użytku. Można też tam podziwiać wspaniałą elokwencję sprzedawców.

— Za jedne pięćdziesiąt groszy może cała rodzina się zabawić. Kwestja bezrobocia rozwiązana. Każdy bezrobotny ma zajęcie... Amerykański wynalazek jo-ja tylko za pięćdziesiąt groszy...

Gdy pójdziemy ulicą Niemiecką, coraz rzadziej będziemy mieli możność spotkać współbraci aryjczyków, ale zato na rogu ulicy J. Klaczki będziemy mogli nabyć za bezcen, potężną porcję koszernego bobu z sosem, który w koszu sprzedaje tam jedna bardzo pokaźna izraelitka...

To wileńska Żelazna Brama i Nalewki, centrala wszystkich domów towarowych.

Ubrania, sukna, kartony, dykta. En gros i w detalu.

Ktoś nas woła... Zatrzymajmy się na chwilę.

— Sianowna osoba jest w życzeniu żymowe paletot, saki, same mode tutaj najtańszo...

— Nie, dziękuję...

— Nastajaszcze sery tibsitskie może...

— Nie, niepotrzeba.

— Bute, lakierke nastojaszczy petersburgskij fason.

W uliczkach tych panuje ścisk i gwar. Trudno przejść po wątkiej taśmie chodnika, na jezdni zaś panuje z niewiadomych powodów przez cztery pory roku wieczne błoto...

Godziny wieczorne, to godziny spokojnych spacerów Wilnian po ulicy Mickiewicza. Od placu Katedralnego do „Zielonego Sztralla“ i z powrotem. Po jednej stronie ulicy chodzą ludzie poważni i systematyczni, by po raz dziesiąty tego dnia naregulować zegarki na wystawie optyka, gdzie jest „dokładny czas“, chadzają kinomani, by popatrzeć na fotosy z Marleną Dietriech w „Hollywoodzie“ wystawione, chadza wreszcie wileńska noblessa, rozważając bardzo poważny problem, gdzie pójść, do „czerwonego“ czy „zielonego“ Sztrally. Po przeciwnej stronie ulicy (gdzie jest mało ludzi i jest mroczno) chadzają zakochani od lat ośmnastu do sześćdziesięciu...

Gdy Amor staje się zbyt dokuczliwy, idzie się na spacer do Bernardynki.

Mimo zimna i braku słowików, swawolne bożyszcze nie zasypia gruszek w popiele.

Ubrał futerko i ciepłe śniegowce i dokazuje, jak gdyby to był maj...

Ale cyt! chodźmy stąd...

Pamiętamy przecież sami, jak to się nie lubi natrętów i obserwatorów w takich chwilach...

Nad Wilnem zapada noc...

W takich chwilach feljetonista zapala zawsze na niebie iluminację księżycową nad miastem i opowiada, jak to było ładnie. Dziś niema niestety nad Wilnem księżyca, tylko na ciemnem tle nieba, jak metalowe gwoździe skrzą się gwiazdy... Jak siedmiopałkowa korona zapłonęła nad Wilnem Wielka Niedźwiedzica i wielką swą wskazówką zbliża się ku północy.

Ulice Wilna cichną i wyludniają się. Zakłapie tylko czasami kopytami o bruk zapóźniona dorożka, tylko gdzieś tam na przedmieściach zajazgotały psy.

Na katedrze wybiła północ...

To duchów godzina...

Po dywanie zeschłych liści w Bernardynce zaszeleściły czyjeś kroki...

Robi się jakoś niesamowicie, gdyż jesteśmy w pobliżu zamku...

Dolatują nas ciche jakieś słowa:

— Przyjdziesz jutro?

— Tak...

— A kochasz?...

Cisza...

Idziemy dalej spokojnie.

To żywi i kochający...

Po zaułkach i uliczkach starego Wilna bezszelestnie kroczy czarna pani — Noc.

Feliks Dangel (Wilno).

UMARLI JADĄ SZYBKO.



Miss Marion „Kiki" Roberts, przyjaciółka słynnego bandyty Jacka Diamonda, zmarłego w roku ubiegłym, bawi na wyspie Kubie, jako artystka filmowa. Keystone. Berlin.

Do najgłośniejszych bandytów amerykańskich należeli w roku ubiegłym Jack Diamond i Al Capone. Przez długie lata igrali oni bezkarnie z życiem i mieniem swoich współobywateli, aż wreszcie dosięgła ich kara. Al Capone schwytany i stawiony przed sądem, został skazany na dziesięć lat więzienia, które obecnie odsiaduje. Jack Diamond zaś w czasie pościgu przez policję, został postrzelony, w następstwie czego zmarł w szpitalu z odniesionych ran. Przyjaciółką jego była artystka kabaretowa miss Marion „Kiki" Roberts, kobietka naprawdę bardzo przystojna i pełna temperamentu, odznaczająca się przedewszystkiem rasowemi nogami. Naturalnie miss „Kiki" po śmierci swego kochanka, nosiła grubą żałobę, jako „pogrążona w nieutulonym smutku". Znawcy jednak przepowiadali, że ten smutek szybko minie i na twarzyczkę panny „Kiki" wróci jej łobuzerski uśmiech niewinnego dziewczęcia. Tak się też stało, miss Marion przekonała się szybko, że znacznie piękniej wygląda w barwnych, żywych sukienkach, aniżeli w żałobnych kirach i że daleko przyjemniej jest siedzieć w towarzystwie wesołych mężczyzn przy dobrej kolacji i szampanie, aniżeli ronić łzy w odosobnieniu nad fotografją zmarłego przyjaciela. A kiedy jeszcze zaproponowało jej występy w filmie, przyjęła tę propozycję bez namysłu. Teraz przebywa na wyspie Kuba, gdzie będą nakręcane pierwsze sceny z jej filmu. Doskonale jej się tam powodzi. Śmiech nie schodzi z jej twarzy. Najgłośniej zaś śmieje się miss „Kiki", gdy zobaczy policjanta. Przypomina jej to bowiem najśmieszniejszą figurę, jaką w życiu spotkała, a mianowicie jej ekssprzyjaciela Jacka Diamonda.

CHŁOP, KTÓRY PRZEPROWADZIŁ REFORMĘ ROLNĄ NA WĘGRZECH.

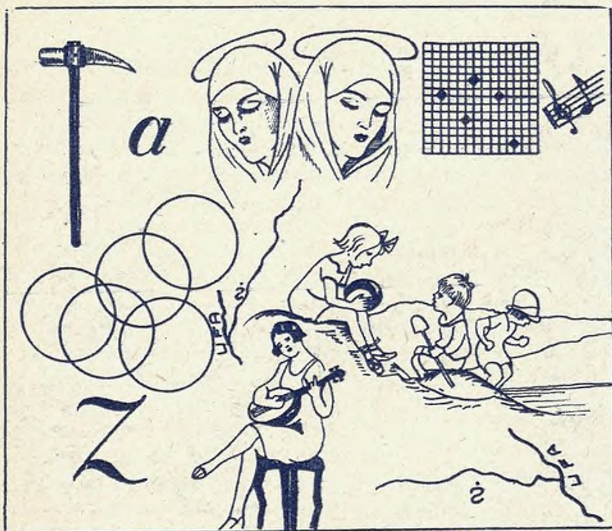
Przed gmachem Ministerstwa Rolnictwa w Budapeszcie, odsłonięto pomnik wzniesiony ku czci Stefana Szabó Nagyatada. Z pochodzenia był on rolnikiem, który okazywał żywe zainteresowanie dla zagadnień politycznych. W erze powojennej, wysunął się na czoło, jako przywódca chłopski. Zostawszy ministrem Rolnictwa, przygotowuje projekt reformy rolnej. Chodziło mu o to, aby ta reforma odbyła się „bez krwi i bez łez", t. zn., nie wywłaszczała bez odszkodowania, nie niszczyła wielkiej własności, a mimo to nasyciła chłopów ziemią. Przedewszystkiem więc w myśl projektu Nagyatada rozparcelowaniu podległy majątki Krezusów wojennych i nowobogackich, a potem źle gospodarowanych. W odsłonięciu pomnika Nagyatada wzięło udział 40.000 chłopów z całych Węgier, reprezentujących 2.714 gmin. Przemawiał b. prezes Rady Ministrów hr. Bethlem. Stefan Szabó Nagyatade jest pierwszym w dziejach Węgrzech ministrem, który wyszedł ze stanu chłopskiego. Zmarł w 1926 r.



Hr. Bethlen przemawia w Budapeszcie na odsłonięciu pomnika twórcy reformy rolnej na Węgrzech, ministra Stefana Szabó Nagyatáda, z pochodzenia drobnego rolnika. Atlantic-Photo.

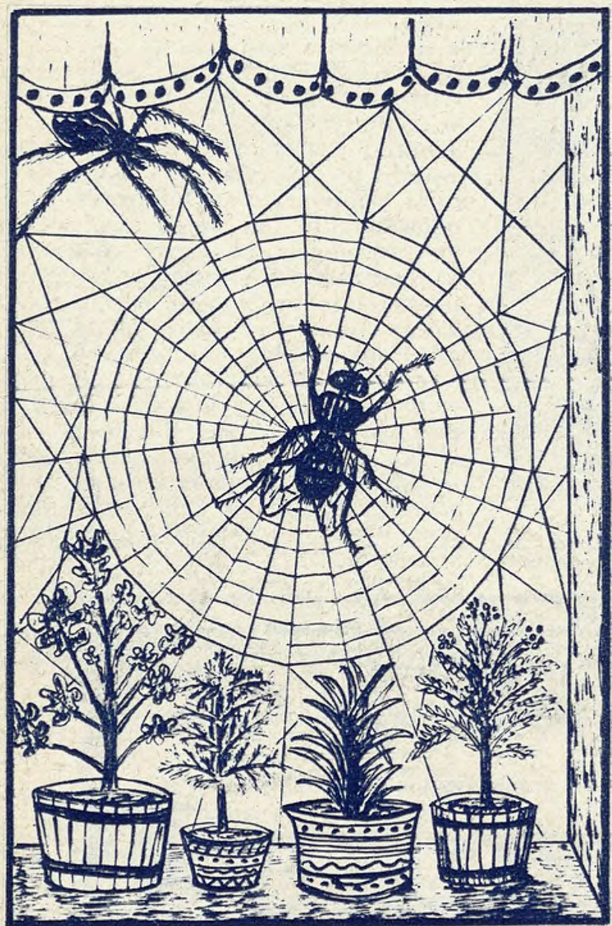
Rebus.

nadesłany z Warsz. Klubu Szar.



Logogryf.

ul. M. Waksmundzka — Jasło (czł. Kl. Szar.).



W siatkę pajęczą należy wpisać 27 wyrazów pięcioliterowych według podanego znaczenia. Rzędy 3 i 4 (litery czytane parami) dadzą rozwiązanie.

1. Ogień święty. 2. Guzy. 3. Pokrywa. 4. Były marszałek Sejmu. 5. „Również“. 6. Nagrobek. 7. Ryba morska. 8. Król żydowski. 9. Kołnierz fałdowany. 10. Gra towarzyska. 11. Opad. 12. Duchowny żydowski. 13. Rodzaj zamszu. 14. Największa świętość u muzułmanów. 15. Drobne wodorosty. 16. Termin muzyczny. 17. Zboże. 18. Autor „Rewizora“. 19. Byt. 20. Żerdzie. 21. Dawny przyrząd do pisania. 22. Wyświęcenie na biskupa. 23. Stały wiatr na Bałtyku. 24. Skrzydło kapelusza. 25. Liche mieszkanie. 26. Para chartów. 27. Zarząd gminy żydowskiej.

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 10 grudnia 1930 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 46.

REBUS: Czyż kryzys nigdy nie skończy się — o Boże?
SZARADA: Łososie, pstrągi i lipienie.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 46 nadesłali:

D. Herbstmanówna, Warszawa; T. Zacherowa, Jaworzno; Wład. Chmiel, Kraków; Kaz. Kalinowska, Lwów; L. Pogoda, Jaworzno; M. Adamczyk, Węgrów; J. Szarfenberg, Kalisz; K. Puchowicz, Warszawa; St. Grychowska, Sosnowiec; Marylka z Ino; Bron. Bobowski, Żywiec; Jadw. Świerczyńska, Lwów; W. Kortylewicz, Poznań; N. Sobolewska, Lublin; H. Zadarnowski, Dubno; Zdz. Fischbach, Września; Z. Żukowa, Jędrzejów; „Emerytka“ — Wilno; H. Buczkówna, Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; podch. T. Hebdowski, Ostrów; H. Makarewicz, Ostrowiec; M. Strubel, Warszawa; L. Bronner, Kraków; A. Szeworski, Nowy Sącz; J. Siutówna, Kraków; Stan. Widziszewski, Rzeszów; St. Maltze, Warszawa; **P. Cynarski, Żywiec (zł. 30.—)**; H. Czaplina, Poznań; J. Rogowski, Warszawa; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Zb. Block, Poznań; Franc. Krajewski, Warszawa; „Wiślanka“; Manfred; Jawnuta, Słonim; Jadw. Tyblewska, Poznań; W. Tyblewska, Poznań; A. Borowicz, Poznań; S. Jabłoński, Prokocim; A. Piekosińska, Brzezowiec; Danuta Piekosińska, Brzezowiec; Wł. Pochmarski, Lwów; ks. L. Klementowski, Tarnopol; M. Fischler, Lwów; „Helenka“, Prokocim; H. Opielińska, Środa; W. Żaboklicki, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; St. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; „Jotel“; A. Kamionka, Kraków; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; Wład. Gajowa, Poznań; M. Zapiór, Kraków; J. Zapiór, Kraków; T. Kretkowski, Warszawa; H. Turowiczowa, Kraków; **Fr. Ruszkowski, Chełmża (zł. 20.—)**; W. Dadejowa, Warszawa; M. Waksmundzka, Jasło; Em. Brzozowski, Warszawa; L. Glaszmidt, Warszawa; Cz. Kozłowski, Warszawa; A. Szmytowa, Poznań; D. Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; St. Effert, Poznań; K. Moszkowska, Katowice; Z. Wiśniewski, Łapy; Janek S., Warszawa; „Stella“, Łask; „Wilnianin“, Dubno; St. Mucha, Kraków; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Albina Demelówna, Nowe Żabno; Uczenice kursu handlowego, Kraków; M. Sorok, Wilno; W. Czernikowa, Chełmno; H. Kornaszewska, Łask; **Marja Altenberger, Łódź (zł. 10.—)**; „Zocha z Horyńca“; Fr. Łukaszewicz, Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; Ir. Marcinkówna, Kraków; J. Kalasiewiczówna, Kraków; Miecz. Górka, Kraków; Ir. Marcinkówna, Kraków; por. M. Wondraczek, Warszawa; Janusz Warszawa; J. Wadowski, Kowel; J. Billewiczowa, Toruń; A. Rotter, Kraków; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; J. Maziarz, Ozorków; Grenicheux, Warszawa; I. Szubiakowska, Korzec; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; J. Janczewski, Wilno; R. Więckowski, Warszawa; Jadwiga Krasucka, Skarżysko; J. Czerwiński, Kowel; H. Opielińska, Środa; Franc. Świerczek, Kraków; W. Gadomski, Kraków; Tad. Cieszewski, Wilno; M. Rogalska, Kraków; W. Siuta, Kołomyja; „Apollo“, Ozorków; M. Niekraszówna, Wilno; Jadw. Antonowiczowa, Równe; B. Morawski, Katowice; St. Biesiada, Ozorków.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. P. Cynarskiego, Żywiec (zł. 30.—); Fr. Ruszkowskiego, Chełmża (zł. 20.—) i Marję Altenberger, Łódź (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

U DENTYSTY.



Dentysta: — Więc to ten ząb pana boli, no jeżeli chodzi o moje zdanie, tobym go wyrwał, gdyby to był mój...

Pacjent: — I jabym to zrobił, gdyby to był pański.

SPOSÓB NA BEZSENNOŚĆ.



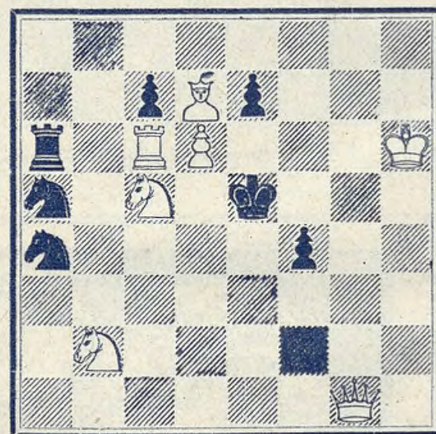
— Mam tyle trosk, że przez całą noc nie mogę zmrużyć oka.
— No to źle, trzeba coś na to radzić...
— Ja też radzę, śpię przez cały dzień.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

Dr. F. Rduch (II nagr. w międzynar. Konkursie „Deutsche Presse“ 1931 r.).

Czarne: Ke5, Wa6, Sa4a5, piony: c7, e7, f4 (7).



Białe: Kh6, Hg1, Wc6, Gd7, Sb2c5, piony: d6 (7).
3-chodówka 7 + 7 = 14.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki Dr. F. Rducha:
1. G—f5!

I. 1... S×c6 2. S—c4+ i 3×;
II. 1... W×c6 2. S—d7+ i 3×;
III. 1... S×c5 2. W×c5+ i 3×;
IV. 1... S×b2 2. H—e1+ i 3×.

PARTJA

Białe: **Raizman** Czarne: **Legrain**
grana w turnieju o mistrz. Francji w Lille w r. 1931.

Otwarcie nieregularne.

1. S—f3 S—f6	12. H—a4 S—d7
2. c4 c5	13. Wf—d1 S—e5
3. S—c3 S—c6 **(1)**	14. H—c2 H—b7
4. g3 **(2)** b6	15. b4 e5
5. G—g2 G—b7	16. b×c5 e×f4
6. d4? c×d4? **(3)**	17. c×d6 W—c8
7. S×d4 H—c8	18. S—d5 K—d8
8. 0—0 e6	19. H—e4! a6? **(4)**
9. Sd—b5 S—a5	20. H—e7+! G×e7
10. G×b7 S×b7	21. d×e7+ K—e8
11. G—f4 d6	22. S—d6 **mat.**

UWAGI:

(1) Korzystniejszem jest 3... d5‘ 4. e×d5 S×d5 5. g3 (5. e4 S×c3) g6 6. G—g2 G—g7 7. 0—0 S—c6 8. H—b3 S—b6! jak to podaje Cheron w swem dziele: Traite complet d‘echecs str. 415.

(2) Białe powinne grać odrazu 4. d4!

(3) Błąd niewyzyskany przez przeciwnika: 6... S×d4! (7. S×d4? G×g2 8. W—g1 c×d4 wygr.).

(4) Czarne powinne były się już poddać. Partja pouczająca ze względu na obustronne niedopatrzenia. Raizman zdobył w ubiegłym roku mistrzostwo Francji.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 156-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 49 upoważniający do losowania nagrody

SOBOWTÓR NAPOLEONA
WŁAŚCICIELEM GOSPODY »POD ZIELONEM DRZEWEM«.



Napoleon, odkorkowujący flaszkę z winem.



Napoleon, wskazujący drogę do swojej gospody.

Napoleon z Jeny w oczekiwaniu gości.

— Jechaliśmy autem, opowiada jeden z podróżnych, w pobliżu Jeny w Niemczech i mimowoli myśli nasze kierowały się ku wielkiemu Korsykańczykowi, który tutaj rozgromił armję niemiecką i odniósł zwycięstwo, które niby laur nieśmiertelny, oplotło się po wieczne czasy dookoła pomnika jego sławy. I kiedy myśleliśmy tak o Napoleonie, a auto mknęło przez pustkowia, nagle ja i moi towarzysze, zaczęliśmy przecierać oczy.

— Ki djabeł, sen, czy mara?

Przed nami bowiem stał Napoleon, we własnej swojej osobie, w białych spodniach, w zielono-tabaczkowym surducie, z szablą u boku. Przechadzał się miarowym krokiem po gościńcu, założywszy ręce wtył, i nad czemś dumał widocznie.

Naturalnie natychmiast zatrzymaliśmy auto, przypuszczając w pierwszej chwili, że może gdzieś w pobliżu nakręcają film, na tle życia Napoleona i że główny bohater tego filmu odłączył się od towarzystwa, aby przygotować się do dalszej swej roli. Ale rychło pokazało się, że nasz Napoleon nie ma nic wspólnego z filmem, lecz jest to niejaki Lange, właściciel gospody, który swoje podobieństwo do Napoleona tak sobie wziął do serca, że zczasem sam uwierzył, iż jest nowem wcieleniem „cesarza Francuzów". Ubiera się więc jak Napoleon, rozczytuje w jego pismach i trzyma ostro w karbach swoją rodzinę, co wszystko razem nie przeszkadza mu robić doskonałych interesów na swojej gospodzie, do której goście ściągają z najdalszych okolic, aby mieć zaszczyt być obsłużonymi przez samego Napoleona.

A zna ten Napoleon swój fach „gastwirta" doskonale. Trzeba widzieć z jaką powagą nabija nową beczkę piwa, jak bada jego temperaturę i jak stara się, aby na szklance tego boskiego nektaru sterczał podwójny, brzuchaty kołnierz, trzeba widzieć, jak zabiera się do odkorkowania flaszki wina, lub też słyszeć, jak donośnym głosem, prawdziwie po napoleońsku wydaje rozkazy do kuchni:

— Pod lustro: wieprzowa, przyrastała z kapustą i knedlem raaaz!!!!

— Wiedeński sznycel, dla pana radcy, raaaz!!!!!

— Dwa duże, raaaz!!!!!

A wieczorem zrobiwszy kasę, Napoleon zasiada w swojem gronie rodzinnem, ze swoją Józefiną i Orlątkiem płci żeńskiej i zabiera się do knedli, i wtedy wzbiera serce jego goryczą, że los wcielił go w szynkarza, a nie w jakiegoś udzielnego władcę.

W każdym razie Jena ma swoją sensację.

Ch. R.

Z WŁOSKIEGO TRYPOLISU.



Włoska akcja cywilizacyjna w Trypolisie (Afryka), zapoczątkowana energicznie przez Mussoliniego, została uwieńczona pełnym sukcesem. Bandy, grasujące na tym terenie zostały poskromione, a liczni osadnicy znaleźli warunki, umożliwiające im pracę nad nawiązaniem stosunków handlowych pomiędzy Trypolisem a Italją. Budowa miast, wspa- [illegible]